

BOHDAN ARCT  
W POGONI ZA LUFTWAFFE  
Polscy Myśliwcy w pustyniach Tunisu

EDINBURGH 1946

*Printed in Great Britain by The Riverside Press, Edinburgh*

OD AUTORA

Gdy na pobojuwiskach Europy ucichł ryk dział, a tysiące samolotów odpoczywają sennie na cichych lotniskach, trudno jest czasem uzmysłwić sobie, że nie tak dawno jeszcze, rok, dwa i trzy lata temu miliony ludzi zmagali się w krwawych bojach, formacje bombowców zrzucały śmiertelny ładunek na miasta i osiedla, a niebo czerniło się od walczących, ścigających się i spadających w płomieniach maszyn. Ludzie zapominają łatwo, może zbyt łatwo, zajęci swymi codziennymi, szarymi troskami. Któż dziś pamięta dzieje kampanji w Zachodniej Pustyni, gdzie w długich i ciężkich walkach słynna Ósma Armja wywalczyła pierwsze w tej wojnie wielkie zwycięstwo. Któż wie, że w końcowej fazie tej kampanji wzięła udział ekipa polskich pilotów myśliwskich, wynikami swymi potwierdzając i umacniając światową opinię o jakości Lotnictwa Polskiego. A było to przecież tak niedawno, zaledwie dwa lata temu.

Miałem zaszczyt być jednym z członków tej ekipy i po zakończeniu kampanji, gdy powróciliśmy do Anglii, koledzy wielokrotnie namawiali mnie, bym opisał nasze afrykańskie przygody i walki. Dałem się namówić, choć nigdy przedtem nie napisałem książki i praca szła mi początkowo opornie. Mam nadzieję, że czytelnik zrozumie, iż historia ta pisana była przez pilota, który w prostych słowach starał się przelać na papier prawdziwe zdarzenia i przeżycia. Książka niniejsza miała również swoje dzieje. Napisałem ją po powrocie do Anglii, w początkach 1944 roku, gdy, po ukończeniu mej drugiej tury operacyjnej w myśliwskim dywizjonie, zostałem wysłany na parę miesięcy odpoczynku. Książka była niemal ukończona, kiedy powróciłem do latania bojowego w lecie tego samego roku i we wrześniu zostałem zestrzelony nad Niemcami, by ostatnie osiem miesięcy wojny spędzić w niemieckim obozie jeńców. Praca została automatycznie przerwana i dopiero, gdy uwolniony przez wojska Sprzymierzonych znalazłem się napowrót w Anglii, mogłem dokończyć rozpoczęte pisanie.

# I

## HISTORJA SIĘ ROZPOCZYNA

Dnia 2 lutego 1943 roku w mesie oficerskiej w Northolt panował od samego rana nastrój gorączkowego podniecenia. Piloci, gromadząc się w grupki, rozprawiali nad czymś tajemniczo, a nasz dowódca dywizjonu, Kazio, zapowiedział krótko, że popołudniu zarządzi dodatkową odprawę pilotów. Pachniało to wszystko nową, niezwykłą awanturą, plotka, wszechwładna pani wszelkich skupisk ludzkich, głosiła że szykuje się wyprawa do Północnej Afryki i Fighter Command zbiera ekipę doświadczonych pilotów, to też powitaliśmy wszyscy z ulgą zapowiedź megafonów, zbierającą pilotów do dispersalu na nowy lot nad Francję. Odwróciło to naszą uwagę i pomogło przeczekać do popołudniowej odprawy.

Lot był nudny i nieciekawym. Trzy polskie dywizjony wzięły udział w eskortowaniu Latających Fortec nad wybrzeżem Francji i po dwóch godzinach wylądowały napowrót w Northolt, nie napotykając żadnej opozycji ze strony nieprzyjaciela. Resztę dnia mieliśmy wolną od lotów, czekała nas tylko owa podniecająca odprawa.

Punktualnie o godzinie drugiej wszyscy piloci rozsiedli się w mizernym baraku dispersalu, oczekując na dowódcę. W kilka minut później, Kazio zaspokoił naszą ciekawość:

— Proszę panów — rozpoczął swym niskim, nosowym głosem — Nadeszło pismo z Dowództwa w sprawie ochotniczej grupy pilotów myśliwskich do Północnej Afryki. Potrzeba jest 15 pilotów z dużym doświadczeniem bojowym. Wyjazd na trzy miesiące, po których grupa będzie wymieniona lub wycofana. Warunki: conajmniej roczny pobyt w dywizjonie myśliwskim i wykonanie conajmniej trzydziestu lotów bojowych. Wyjazd nastąpi w ciągu kilku dni. Nie mogę panom powiedzieć na którym froncie grupa będzie walczyć, nie znam również szczegółów pracy ani organizacji. Ewentualni ochotnicy zgłoszą się dzisiaj do mojej kancelarii. Czy ktoś reflektuje na wyjazd?

Bez chwili wahania podniosłem rękę do góry i szybko rozejrzałem się dokoła. Byłem jedynym ochotnikiem.

— Zachciało ci się banany prostować — zażartował Krzem, jeden z mych serdecznych przyjaciół, który następnego roku zginął nad Holandją.

Przywożę ci małpę, będziesz miał bliźniaka — odparłem krótko. Nowa awantura bardzo mi się uśmiechała a możliwości napotkania Niemców nad Afryką były niewątpliwie większe niż w Anglii, gdzie przez kilkanaście lotów nie widziałem ani jednej nieprzyjacielskiej maszyny. W kancelarii Kazia szybko spisaliśmy potrzebne dane, które Kazio przetelefonował do Dowództwa, podając przytym i swoją kandydaturę, która niestety została odrzucona na drugim końcu linii telefonicznej. Dowódca dywizjonu nie mógł opuścić swego stanowiska, ja zaś byłem wtedy jedynie zwykłym pilotem, którego mogło zastąpić wielu innych, młodszych kolegów.

Wieczorem przybyło trzech nowych kandydatów. Potężna łapa Karola Pniaka spadła niespodziewanie na moje plecy, gdy siedząc wygodnie w miękkim fotelu mesy, przeglądałem jakieś ilustrowane pismo.

— Zapisałem się na waszą pierońską listę — oświadczył Karol głębokim basem, słynnym na całą stację. — Jeszcze, mnie w Afryce na piasku nie widzieli, a chyba szklanka whisky znajdzie się dla mnie i na pustyni. Jedziemy razem, Bohdan.

Kazek Sporny wychylił swą wykrzywioną gębę z sąsiedniego fotela:

— Pruję z wami, panie Antoś, może się mi jakiś Messerschmitt podsunie pod działka, będzie weselej, niż tutaj.

Przez uchylone drzwi zajrzała czarna głowa Wacka Króla:

— No co, jedziemy? Możeby tak który z was, na to konto „drinka” postawił?

Resztę wieczoru spędziliśmy pracowicie przy barze mesy, snując plany i projekty przy licznych kolejkach podwójnej whisky.

W ciągu następnych dwóch dni skład grupy został ustalony przez nasze Dowództwo. Jako oficer łącznikowy z R.A.F. wybrany został podpułkownik Rolski, dowódcą ekipy został major Skalski, nasz czołowy pilot myśliwski, weteran z walk w Polsce i „Battle of Britain”.

Pozatym z pośród 60 kandydatów ze wszystkich polskich dywizjonów w Anglii wybrano czterestu pilotów. Większość z nich to moi przyjaciele i znajomi, z którymi wiele razy latałem uprzednio na drugą stronę kanału Angielskiego, szukając Niemców nad ich własnym terenem. Byli to wszyscy wyborowi piloci z wielkim doświadczeniem bojowym, wielu z nich posiadało już na swym koncie po kilka samolotów nieprzyjaciela. Karol Pniak, Wacek Król, „Dziubek” Horbaczewski ze swym nierozłącznym przyjacielem Kazkiem Spornym, „Zosia” Martel, Maciek Drecki, Władek Majchrzyk i Marcin Machowiak byli to ludzie, którym można na ślepo zawierzyć w powietrzu, wiedząc, że nigdy nie zawiodą. Reszta nazwisk, Wyszkowski, Kowalski, Popek, Sztramko i Malinowski objęła mi się już przedtem o uszy, choć ich bliżej nie znałem. Słyszałem jednak, że i oni są starymi wygami, posiadającymi za sobą po kilkadziesiąt lotów bojowych.

Tydzień minął, nim cała nasza grupa zebrała się na odludnej stacji R.A.F. w West Kirby, by poczynić ostateczne przygotowania do odjazdu. Każdy z nas zdążył się dobrze zadomowić w Anglii, naszej wojennej ojczyźnie, to też spędziliśmy ten tydzień, pakując i segregując nasze skromne bagaże, zostawiając u znajomych zbędne graty i żegnając się z przyjaciółmi podczas licznych „party”. W zimnych barakach West Kirby spędziliśmy pięć długich dni, załatwiając niezbędne formalności i odwiedzając liczne magazyny stacyjne dla pobrania ekwipunku.

*[brakujący tekst]*

którym frontie grupa będzie walczyć, nie znam również szczegółów pracy ani organizacji. Ewentualni ochotnicy zgłoszą się dzisiaj do mojej kancelarii. Czy ktoś reflektuje na wyjazd? Bez chwili wahania podniosłem rękę do góry i szybko rozejrzałem się dokoła. Byłem jedynym ochotnikiem.

— Zachciało ci się banany prostować — zażartował Krzem, jeden z mych serdecznych przyjaciół, który następnego roku zginął nad Holandją.

Przywiozę ci małpę, będziesz miał bliźniaka — odparłem krótko. Nowa awantura bardzo mi się uśmiechała a możliwości napotkania Niemców nad Afryką były niewątpliwie większe niż w Anglii, gdzie przez kilkanaście lotów nie widziałem ani jednej nieprzyjacielskiej maszyny. W kancelarii Kazia szybko spisaliśmy potrzebne dane, które Kazio przetelefonował do Dowództwa, podając przytym i swoją kandydaturę, która niestety została odrzucona na drugim końcu linji telefonicznej. Dowódca dywizjonu nie mógł opuścić swego stanowiska, ja zaś byłem wtedy jedynie zwykłym pilotem, którego mogło zastąpić wielu innych, młodszych kolegów.

Wieczorem przybyło trzech nowych kandydatów. Potężna łapa Karola Pniaka spadła niespodziewanie na moje plecy, gdy siedząc wygodnie w miękkim fotelu mesy, przeglądałem jakieś ilustrowane pismo.

— Zapisalem się na waszą pierońską listę — oświadczył Karol głębokim basem, słynnym na całą stację. — Jeszcze, mnie w Afryce na piasku nie widzieli, a chyba szklanka whisky znajdzie się dla mnie i na pustyni. Jedziemy razem, Bohdan.

Kazek Sporny wychylił swą wykrzywioną gębę z sąsiedniego fotela:

— Pruję z wami, panie Antoś, może się mi jakiś Messerschmitt podsunie pod działka, będzie weselej, niż. tutaj.

Przez uchylone drzwi zajrzała czarna głowa Wacka Króla:

— No co, jedziemy? Możeby tak który z was, na to konto „drinka” postawił?

Resztę wieczoru spędziliśmy pracowicie przy barze mesy, snując plany i projekty przy licznych kolejkach podwójnej whisky.

W ciągu następných dwóch dni skład grupy został ustalony przez nasze Dowództwo. Jako oficer łącznikowy z R.A.F. wybrany został podpułkownik Rolski, dowódcą ekipy został major Skalski, nasz czołowy pilot myśliwski, weteran z walk w Polsce i „Battle of Britain”. Pozatym z pośród 60 kandydatów ze wszystkich polskich dywizjonów w Anglii wybrano czterestu pilotów. Większość z nich to moi przyjaciele i znajomi, z którymi wiele razy latałem uprzednio na drugą stronę kanału Angielskiego, szukając Niemców nad ich własnym terenem. Byli to wszyscy wyborowi piloci z wielkim doświadczeniem bojowym, wielu z nich posiadało już na swym koncie po kilka samolotów nieprzyjaciela. Karol Pniak, Wacek Król, „Dziubek” Horbaczewski ze swym nierozłącznym przyjacielem Kazkiem Spornym, „Zosia”

Martel, Maciek Drecki, Władek Majchrzyk i Marcin Machowiak byli to ludzie, którym można na ślepo zawierzyć w powietrzu, wiedząc, że nigdy nie zawiodą. Reszta nazwisk, Wyszkowski, Kowalski, Popek, Sztramko i Malinowski objęła mi się już przedtem o uszy, choć ich bliżej nie znałem. Słyszałem jednak, że i oni są starymi wygami, posiadającymi za sobą po kilkadziesiąt lotów bojowych.

Tydzień minął, nim cała nasza grupa zebrała się na odludnej stacji R.A.F. w West Kirby, by poczynić ostateczne przygotowania do odjazdu. Każdy z nas zdążył się dobrze zadomowić w Anglii, naszej wojennej ojczyźnie, to też spędziliśmy ten tydzień, pakując i segregując nasze skromne bagaże, zostawiając u znajomych zbędne graty i żegnając się z przyjaciółmi podczas licznych „party”. W zimnych barakach West Kirby spędziliśmy pięć długich dni, załatwiając niezbędne formalności i odwiedzając liczne magazyny stacyjne dla pobrania ekwipunku tropikalnego. Około południa piątego dnia całe góry koszul, mundurów khaki, short'ow i pończoch spiętrzyły się na naszych łózkach. Na szczycie mego ekwipunku spoczął majestatycznie wielki korkowy hełm, budzący niekłamaną podziw całego towarzystwa. Widać było naprawdę, że jedziemy w ciepłe kraje. Wyfasowanie pistoletów, manierek, menażek i całego szeregu pasków i sprzączek oraz obszernego worka, gdzie z trudem wepchnęliśmy cały ten sprzęt, zakończyło ekwipunek. Na ukoronowanie pobytu w West Kirby dostaliśmy potężny zastrzyk przeciw żółtej febrze, poczem pułkownik Rolski uchylił rąbka tajemnicy, oświadczając, że nasza grupa jedzie na Zachodnią Pustynię do lotnictwa Ósmej Armii gen. Montgomery, gdzie w jednym z dywizjonów angielskich mieliśmy utworzyć oddzielną polską eskadrę, nazwaną „Polish Fighting Team”. Drogę mieliśmy odbyć częściowo morzem, w konwoju do Algieru lub Oranu, potem powietrzem do linii frontu, który ciągnął się wtedy na granicy francuskiego Tunisu. Otrzymałem mieliśmy samoloty Spitfire Mark V, maszyny dobrze nam wszystkim znane w Anglii i w owym czasie jedne z lepszych samolotów myśliwskich świata. Nowiny te zaspokoili naszą ciekawość i cierpliwie spędziliśmy resztę dnia, oczekując na wyjazd.

Wiadomość przysłała nagle i niespodziewanie, gdy już szykowaliśmy się spędzić jeszcze jedną noc w West Kirby. Do baraku wbiegł zadyszany szeregowiec, przynosząc rozkaz wyjazdu dla całej grupy. Na walizki i worki przystemplowano nam czarną farbą nazwiska, numery i cały szereg liter i cyfr, odznaczających zaszyfrowane miejsce naszego przeznaczenia. Jechaliśmy konwojem i wszelkie ostrożności musiały być poczynione, by nie zdradzić niczego nieprzyjacielskiemu wywiadowi, który łatwo mógłby sprowadzić nam na kark łodzie podwodne.

W ciemną noc zajechały przed baraki duże służbowe ciężarówki z przygaszonymi światłami. Załadowaliśmy się na nie wraz z naszymi bagażami i w kilka minut opuściliśmy West Kirby. Podróż samochodami nie trwała długo. W Liverpool, gdzie spodziewaliśmy się przesiąść wprost na statek, zajechaliśmy na dworzec kolejowy i ulokowaliśmy się w pociągu idącym na północ, do Glasgow w Szkocji. Oznaczało to całonocną jazdę koleją i nie wpłynęło bynajmniej dodatnio na nasze humory. Nad ranem obudziliśmy się głodni, zziębnięci i źli. — Dobrze nam tak — mruknął Kazek Sporny, wieczny malkontent — Zachciało się wam bawić w ochotników, do gorącej Afryki się wybierać, a tymczasem musimy wszyscy marznąć tutaj w Szkocji, która wcale nie leży po drodze, a wogóle nie rozumiem pogo jedziemy do tego Glasgow.

Szczęśliwie podróż szybko dobiegła końca. Na dworcu w Glasgow czekały na nas samochody i zawiozły wprost do portu. Wyładowano nas przed jakimś niezbyt okazale prezentującym się statkiem, co wywołało następny protest, tym razem ze strony „Dziubka” Horbaczewskiego, który nigdy nie był entuzjastą podróży morskich.

— Nie wsiadam na tę krypę — złościł się „Dziubek” — Pudło zatonie, zanim zdążymy ruszyć z portu.

Nasz statek stał jednak w innym miejscu i prezentował się wcale okazale. Dostaliśmy wygodne pomieszczenia, dwie kabiny dla oficerów i jedną dla sierżantów i choć na pokładzie było nieco ciasno ze względu na obecność ponad 3000 wojska, to zato jadalnie były ładne i przestronne, a pierwszy posiłek napełnił nas zupełnym zaufaniem do zdolności okrętowych kucharzy.

Cierpliwość nasza miała być wystawiona na jeszcze jedną próbę. Trzy dni spędziliśmy na pokładzie, a statek bynajmniej nie chciał ruszyć w drogę. Zaczęliśmy się wszyscy niepokoić i

niecierpliwić, jeden tylko Stach Skalski, nasz dowódca, nie tracił wrodzonego mu animuszu. — Wiecie panowie — zaczął, gdy zebraliśmy się trzeciego dnia wieczorem w kabinie, by spędzić czas przy partji bridge'a, — gdy będziemy na miejscu i zorientujemy się jak to wszystko wygląda, musimy uzyskać dobre wyniki. Prujemy na całego, mogą być straty, ale pilotów mamy doświadczonych i musimy, powtarzam, nastrzelać tyłu Niemców, żeby się Anglikom gęby pootwierały. Poto nas tam wysyłają.

Rozpoczęło to normalną w takich wypadkach dyskusję nad taktyką, atakami i rodzajami formacji bojowych, gęsto przeplatana opowiadaniem o przebytych walkach. Każdy z nas niejedną raz spotykał się z Messerschmittami i Focke Wulfami, prawie każdy miał na sumieniu kilka maszyn niemieckich, a taki Stach to rekordzista — zestrzelił w swej myśliwskiej karierze 15 Szkopów, nie licząc prawdopodobnie zniszczonych i uszkodzonych. — Ten zespół może rzeczywiście coś zrobić — przebiegło mi przez głowę — chłopaki pójdą na całego, gdy się tylko nadarzy okazja.

Powróciliśmy do rozpoczętego bridge'a i w kabinie zaległa cisza, czasem tylko przerywana licytacją lub gwałtownym przekleństwem zdenerwowanego gracza. Około jedenastej wieczorem, gdy zakończywszy grę, wybieraliśmy się do łóżek, a raczej koji przymocowanych do ścian kabiny, przez statek przebiegło dziwne drżenie.

— Mówiłem wam, że pudło zatonię — wykrzyknął „Dziubek”, gwałtownie przerywając pracowite zajęcie ściągania butów.

Zlekka zaniepokojeni nadśluchiwaliliśmy w milczeniu. Rozległo się głuche dudnienie i poczęliśmy się lekko kołysać.

— No, panie Antoś — mruknął po swojemu Kazek — chyba płyniemy, bo już mi się rzygać chce, panie Antoś.

Rzeczywiście, po trzydniowym wyczekiwaniu ruszyliśmy zwolna z portu wzdłuż ogromnych doków rzeki Clyde, kierując się na pełne morze.

## II

### W KONWOJU

Ranek 24 lutego zastał nas na pełnym morzu. Płynęliśmy w konwoju, składającym się z dwunastu wielkich „troop-carriers” z których każdy był przed wojną statkiem pasażerskim o wcale pokaźnym tonażu. W bliskim sąsiedztwie płynął polski „Batory”, wyróżniający się piękną, rasową sylwetką. Wszystkie okręty załadowane wojskiem i obliczyliśmy na oko, że konwój zawierał około 30000 ludzi. Eskortę mieliśmy poważną, pancernik „Malaya” i osiem kontrtorpedowców patrolujących dokoła konwoju. Co parę godzin ukazywał się nad nami samolot, Wellington, lub gruby i pękaty Sunderland z Coastal Command. Dawało to wszystko poczucie bezpieczeństwa i prędko zapomnieliśmy, że na naszej drodze znajdowały się zapewne liczne niemieckie łodzie podwodne.

Dwa następne dni tak nas rzucało na statku, że z trudem mogliśmy prowadzić normalny tryb życia, a co słabsze natury spiesznie oddawały Neptunowi każdorazowy posiłek, widokiem swym odbierając apetyt innym, bardziej odpornym. Nasz zespół jednak, jak przystało na starych myśliwców, trzymał się cały czas doskonale, jedynie „Dziubek chodził zlekka przybladły, a Kazek zwiększył wybitnie ilość niecenzuralnych wyrażen swego bogatego słownika. Czas wypełnialiśmy pisaniem listów, które miały być wysłane z pierwszego portu, pogadankami na temat przyszłych operacji oraz grą w bridge'a lub pokera, bo trzeba wiedzieć, że polscy piloci, a specjalnie myśliwcy, celują w tych szlachetnych grach i jak nas było szesnastu razem na statku, tak też szesnastu zajmowało cztery stoliki w wygodnym „sitting room”, pracowicie rozdając i tasując karty.

Po licznych manewrach i zmianach kursu, przybraliśmy wreszcie kierunek wschodni i pod wieczór trzeciego marca wpłynęliśmy w cieśninę Gibraltaru. Morze się uspokoiło, było coraz cieplej i bez żalu schowaliśmy do walizek nasze lotnicze swetry i skórzane kurtki. W Gibraltarze konwój się rozdzielił, nasz statek w towarzystwie kilku innych „troop-carriers” i pod eskortą trzech kontrtorpedowców wpłynął na morze Śródziemne, kierując się w stronę Oranu. Niebezpieczeństwo łodzi podwodnych minęło bez śladu, przez całą podróż nie mieliśmy ani jednego alarmu, poza ćwiczebnymi i nabraliśmy wszyscy wielkiego respektu dla brytyjskiej Navy.

Minął jeszcze jeden dzień i wreszcie na zamglonym horyzoncie dojrzeliliśmy wyczekiwany

brzeg afrykański. W godzinę później zarysowały się przed nami kontury miasta z błyszczącymi w oślepiającym słońcu białymi domami. Spakowanie rzeczy zajęło nam kilka minut, spieszenie wybiegliśmy na pokład i w krótkim czasie znaleźliśmy się na ładzie, maszerując po kamiennym molo portu w Oranie. Pierwsza część naszej długiej podróży zakończyła się pomyślnie.

### III PIERWSZE KROKI NA CZARNYM ŁADZIE

Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu i miłemu rozczerowaniu, pierwsze powitanie w Afryce otrzymaliśmy w płynnej polszczyźnie! By dostać się do oczekującego na nas transportu, musieliśmy przejść na piechotę wzdłuż całego portu, obok szeregu amerykańskich okrętów, wyładowujących wojsko. Stamtąd właśnie odezwało się głośnie wołanie: Jak się macie chłopaki! Wyszło to od amerykańskiego sierżanta, Polaka, który rozpoznał nasze mundury i napisy „Poland” na ramionach. W kilka sekund otoczyło nas kilkudziesięciu amerykańskich Polaków, witających nas z niezwykłą serdecznością. Wydawało się, że nigdy nie dostaniemy się do naszego autobusu i niemal że zostaliśmy z nimi. Czuliśmy się niemal jak w domu i nawet ponury zwykle Kazek bąknął z rozrzewnieniem:

— Panie Antoś, cholera, gdzie też tych Polaków nie spotkać! Toż tu cała amerykańska armia z Polonezów się składa.

Niestety musieliśmy pożegnać naszych rodaków i kontynuować wędrówkę. Autobus R.A.F. zawiózł nas na stację kolejową, skąd po dwóch godzinach czekania, wypełnionych zwiedzaniem miasta, wyruszyliśmy pociągiem do Algieru. Droga trwała długo i była nieciekawa i nużąca. Na drugi dzień rano wysiedliśmy na małej stacji pod Algierem i dotarliśmy do tranzytowego obozu R.A.F. gdzie oczekiwać mieliśmy dalszych instrukcji. Cekał nas tam przedsmak późniejszych niewygód pustynnych. Na błotnistych polach przedmieść Algieru Anglicy rozbili kilkadziesiąt namiotów, pod którymi mieliśmy spędzić noc w oczekiwaniu na dalszy transport. Zamiast łóżek otrzymaliśmy po trzy koce na głowę, możliwości umycia się i ogolenia były żadne. Nie było to ani przyjemne ani zachęcające, tymbardziej, że wciąż przyzwyczajeni byliśmy do wygód angielskich lotnisk.

Po skromnym posiłku odbyliśmy we trójkę ze Stachem Skalskim i Maćkiem Dreckim krótką konferencję. Czemu właściwie nie mieliśmy popróbować szczęścia w jednym z licznych hoteli Algieru i spędzić noc wygodnie w łóżku, zamiast męczyć się pod płachtą namiotu. Znałem Algier— jeszcze z poprzedniego mego pobytu w 1940 roku, Maciek mówił doskonale po francusku, mieliśmy razem około 1000 franków, a obecność Stacha nadawała wyprawie zabarwienia urzędowego. Decyzja zapadła szybko. Wyszliśmy z obozu z pewną nonszalancją, zapowiadając zdziwionym kolegom, że wrócimy dopiero jutro rano. Do miasta dostaliśmy się niemal cudem, pół drogi odbywszy towarowym pociągiem, a drugie pół ciężarową lorą, jako że żadne normalne środki komunikacyjne nie istniały wówczas w Algierze. Dopiero jednak w centrum miasta czekała nas przykra niespodzianka. Dosłownie wszystkie hotele pozajmowane były przez wojska amerykańskie i angielskie i nie było mowy o znalezieniu choć jednego wolnego pokoju. Bezskuteczne usiłowania zajęły nam kilka godzin i było już blisko północy, gdy zrezygnowani stanęliśmy na środku ulicy, wiodącej do arabskich bazarów, gotowi zapłacić wszystkie posiadane przez nas pieniądze za kawałek miejsca do spania. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie, gdy, gotowi do ułożenia się do snu na twardym chodniku, natknęliśmy się na spóźnionego przechodnia Francuza. Maciek mrugnął do nas porozumiewawczo i rozpoczął ożywioną rozmowę po francusku, z której, choć nie jestem zbyt mocnym w tym języku, wywnioskowałem, że byliśmy bohaterскими lotnikami, którzy spędzili pół roku na pustyni, zestrzelili dziesiątki Niemców i właśnie otrzymali pierwszy urlop od lat, przed chwilą przybyli do Algieru i nie mają dachu nad głową. Tu Maciek naprawdę się rozczulił, napół wierząc we własne bajdy, i począł narzekać na niegościnne miasto, za które przecież przelewaliśmy tak długo krew. Pocziwy Francuz miał Izy w oczach, gdy począł się usprawiedliwiać, że on sam nie ma właściwie mieszkania i musi się gnieździć w ciasnej klitce, że on wszystkoby dla takich bohaterów zrobił, gdyby

mógł i że przecież nie może nas tak na bruku zostawić. Tu widocznie genialna myśl zaświtała mu w głowie, bo twarz mu się nagle rozjaśniła i drżącym z podniecenia głosem oznajmił, że jednak znajdzie dla nas lokum na tę noc. Maciek spojrział na mnie zgóry, jakby chciał powiedzieć: Widzisz idjoto, trzeba na sentyment ludzi brać, bo inaczej nic nie wyjdzie. — No i lokum się znalazło! Nasz Francuz posiadał sklep z zabawkami dla dzieci i tam zostaliśmy przez niego zaprowadzeni, by spędzić noc na trzech drewnianych ladach sklepowych, drżąc z zimna i marząc o wygodnych namiotach i trzech kocach które czekały na nas w obozie. Nie czuliśmy się zbyt pewnie powracając na drugi dzień rano do naszego obozu, Maciek jednak znów wziął inicjatywę w swoje ręce i w krótkim czasie nasi koledzy dowiedzieli się, że ubiegłą noc spędziliśmy pijąc doskonałego szampana w domu algierskiej arystokracji, flirtując z miejscowymi pięknosciami. Tak, Maciek był doskonałym pilotem i posiadał niewątpliwy dar opowiadania.

Resztę dnia spędziliśmy beczynn timer, oczekując na zapewnienie nam miejsc w samolocie do Castel Benito, naszego następnego etapu wędrówki. Nauczenni doświadczeniem nie ruszaliśmy się już więcej z obozu i noc w namiocie wydawała się nam rajem po niezapomnianym sklepie z zabawkami.

Wczesnym rankiem wyjechaliśmy z obozu na pobliskie lotnisko Maison Blanche, gdzie załadowaliśmy się do amerykańskiego samolotu transportowego DC3. Sześciogodzinny przelot z międzylądowaniem dla uzupełnienia paliwa odbyliśmy wygodnie, objadając się konserwami i drzemiąc przez cały prawie czas, tak że nie mieliśmy się nawet czasu znudzić pustynnym krajobrazem, roztaczającym się pod nami. Cały niemal Tunis znajdował się wtedy w rękach niemieckich, tak że musieliśmy zrobić głęboki luk nad pustynią, by uniknąć niebezpieczeństwa zestrzelenia. Pod wieczór wylądowaliśmy w Castel Benito, gdzie zostaliśmy ulokowani na noc w byłych kwaterach włoskich oficerów.

Lotnisko to było swego czasu oczkiem w głowie włoskiej Reggia Aeronautica i rzeczywiście prezentowało się okazale na tle pustynnej okolicy, pomimo dokładnego zbombardowania przez lotnictwo Aljantów. Nasze kwatery mieściły się w małych malowniczych budynkach pośród gęstej zieleni, odnaleźliśmy nawet pływalnię, niestety pustą. Po raz pierwszy w Afryce napotkaliśmy racjonowanie wody, zjawisko bardzo powszednie na wszystkich naszych następnych miejscach postoju.

#### IV

#### PIENIĄDZ RZĄDZI KAIREM

Z pewnym rozczarowaniem przyjęliśmy wiadomość, że nasza wędrówka bynajmniej nie dobiega końca i musimy się wszyscy zameldować w Dowództwie w Cairo, skąd dopiero zostać mieliśmy odesłani do właściwej jednostki na froncie. Oznaczało to, że czekało nas jeszcze przeszło 2000 mil wędrówki ponad pustynią. Mieliśmy już tego naprawdę dosyć i wszyscy chcieliśmy jak najprędzej dostać się do dywizjonu, by rozpocząć normalną bojową pracę. Trzeba jednak było słuchać rozkazów i po dwunastogodzinnym pobycie w Castel Benito wystartowaliśmy z tego lotniska, kierując się ponad pustynią w stronę odległego Egiptu. Po kilku godzinach lotu nad płaskimi, piaszczystymi i bezludnymi terenami, błyszczącymi od czasu do czasu taflami słonych jezior, wylądowaliśmy pod słynnym Tobrukiem, na piaszczystym lotnisku El Adem. Postój trwał krótko, samolot uzupełniono paliwem, my zdążyliśmy wypić po kubku kakao, jedynym możliwym tutaj do picia płynem, ze względu na słoną wodę ze studni, i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Teren pomiędzy El Adem a Kairem usiany jest wzgórzami i nawianymi diunami, pomiędzy którymi zrzadka rozsiane są anemiczne oazy z karłowatymi palmami i nielicznymi osadami arabskimi. Przelecieliśmy nad pobojowiskami zaciekłych walk Ósmej Armji Brytyjskiej z wojskami Rommel'a, wszędzie pod nami widoczne były ślady bitew, zniszczone czołgi, rozbite samochody i skraksovane samoloty, napół przysypane piaskiem. Robiło to wrażenie, jak gdybyśmy przelatowali ponad wielkim cmentarzem ze świeżo rozkopanymi grobami. Na lotnisko pod Kairem przybyliśmy popołudniu i od razu dostaliśmy transport do miasta, odległego o 15 mil. Początkowo asfaltowa szosa wiodła poprzez pustynię, z chwilą jednak

dojechania do Nilu krajobraz zmienił się raptownie. Jak z pod ziemi wyrosły wytworne wille, otoczone wysmukłymi palmami, by z kolei ustąpić miejsca szeregom domów, które w miarę zbliżania się do centrum miasta nabrały wymiarów niemal drapaczy nieba. Lora zatrzymała się przed jednym z tych budynków, okazałym gmachem R.A.F. Headquarters, Middle East. Pułkownik Rolski zameldował nasze przybycie i uzyskał dalsze informacje. W ciągu kilku dni mieliśmy odlecieć spowrotem do Trypolisu, a stamtąd na front do 145 dywizjonu brytyjskiego. Wolny czas mogliśmy spędzić na zwiedzanie miastu, z czego też żeśmy skrupulatnie skorzystali.

Ulokowano nas wygodnie w hotelu na Soliman Pascha Street i wieczorem, umyjni, ogoleni i wykapani po trudach podróży wybraliśmy się do miasta.

„Black-out” nigdy nie istniał w Kairze i ulice tonęły w powodzi światła, dając nam przyjemne i podniecające wrażenie po trzechletnich ciemnościach miast angielskich. Uwagę naszą przyciągały specjalnie bogate witryny niezliczonych sklepów, pełne najprzeróżniejszych towarów, o których istnieniu dawno zdążyliśmy zapomnieć na wyspach brytyjskich. Można tam było dostać wszystko, od amerykańskich aparatów fotograficznych i jedwabnych pończoch, do szwajcarskich i niemieckich zegarków. Egipt był państwem neutralnym i nie wojował z Hitlerem, prowadząc handel z obu stronami i robiąc doskonałe interesy na wojnie. Zastanowiła nas ogromna ilość najnowszych samochodów amerykańskich, w których rozpięta się brzuchate postacie Arabów z europejskimi pięknosciami przy boku. Pieniądz rządu Kairem i za pieniądz można tu kupić dosłownie wszystko.

Wstąpiliśmy do jednego z najlepszych kabaretów i wychyliliśmy parę kolejek doskonałej John Haig z lodem. Lokal wypełniali oficerowie wszelkich rodzajów broni, nieliczni cywile i szereg wydekoltowanych tancerek różnych narodowości i kolorów skóry. Kobiety te były niezwykle atrakcyjne i nawet najspokojniejsi z nas nie mogli od nich oderwać oczu, zwłaszcza od śniadych Arabek o idealnych kształtach i wielkich zamysłonych oczach. Kazek z miejsca oświadczył, coby zrobił, gdyby miał więcej gotówki, Stach nerwowo zatarł ręce a Maciek jedynie w milczeniu oblizywał spierzchnięte wargi. Szybko zadecydowaliśmy, że bezpieczniej będzie opuścić ten lokal i mocno się ociągając powróciliśmy do naszego hotelu. Następnego dnia poświęciliśmy na zakupy, zmieniwszy uprzednio angielskie funty na egipskie funty i piastry. Zaopatrzyłem się w parę drobiazgów i stałem niezdecydowany przed sklepem, namyślając się nad zakupem pustynnych butów z miękkiej żółtawej skóry, gdy dopadli mnie Karol Pniak z Kazkiem, którzy właśnie odkryli „fantastyczną” knajpę tuż koło naszego hotelu i przysięgali na brodę Mahometa, że można tam dostać prawdziwą polską kiełbasę. Butów oczywiście już nie kupiłem, żałując tego aż do końca mego pobytu w Afryce, natomiast zasiedliśmy we trójkę przy stoliku w owym barze. Kiełbasa była rzeczywiście świetna, zwłaszcza że dostaliśmy do niej świeże pomidory z cebulką i nieodzowne podwójne whisky z lodem. Napojem tym raczyliśmy się podczas pobytu w Kairze dowoli, przewidując że następne tygodnie na pustyni będą kompletnie suche. Przewidywania nasze sprawdziły się w zupełności, aż do końca kampanji w Tunisie nie mieliśmy okazji do wypicia ani jednego kieliszka.

W czasie gdy spędzaliśmy pożytecznie czas w owym barze, inna partja naszego „Team”, Stach, „Dziubek” i Maciek natknęli się na polskich pilotów transportowych, stacjonowanych w Kairze. Zostali oni niezwykle serdecznie przyjęci, tak serdecznie, że z trudem dostali się spowrotem do hotelu po wysuszeniu baterji butelek najróżniejszych gatunków alkoholu i zakończyli zwiedzanie miasta we własnych łózkach.

Nasza trójka, dobrawszy sobie do towarzystwa jeszcze dwóch dalszych kolegów, zakończywszy „urzędowanie” w owym barze z polską kiełbasą, wybrała się do arabskiej dzielnicy miasta. Była to wyprawa raczej ryzykowna, ponieważ dzielnica ta była „out of bounds” dla wojska, ze względu na ustawiczne bójkę z Arabami, którzy byli nieprzychylnie nastawieni do Aljantów. Niemniej zdecydowaliśmy się bez wahania i pożyczwszy w hotelu cywilne ubrania, po dziesięciu minutach marszu weszliśmy w kręte i wąskie uliczki arabskie, u wylotu których stały liczne posterunki żandarmerji i widniały wielkie napisy ostrzegawcze „Out of bounds”.

Wyprawa ta zakończyła się bez emocji. Po półgodzinnym wałęsaniu się pomiędzy brudnymi i niezbyt apetycznie pachnącymi tubylcami, skręciliśmy spowrotem w stronę dzielnicy europejskiej, rzuciwszy przelotnie okiem na słynną długą ulicę, pełną lokali o podejrzanym



nazwie, gdzie smutnookie córki pustyni sprzedawały swe uczucia przygodnym klientom. Widok to niezbyt przyjemny i budujący, to też odetchnąłem z ulgą, przekraczając bramę tej części miasta. Nasz pobyt w Kairze dobiegał końca, następnego dnia o świcie mieliśmy opuścić Egipt, lecąc wreszcie do miejsca naszego przeznaczenia.

## V BU GRARA

Już o świcie staliśmy przed biurem British Airways, spokojnie się przyglądając, jak paru urzędników w brudnobiałych mundurach skrzętnie waży nasz bagaż. Wydawało mi się to bezcelowym zajęciem, ale wytłumaczyłem sobie, że pewnie ładunek samolotu ma określoną wagę i w razie jej przekroczenia część z nas będzie musiała polecieć następną maszyną. Za godzinę mieliśmy ruszyć do Trypolisu.

Nie czułem się zbyt pewnie po wczorajszej libacji, ale jeden rzut oka na zapuchnięte policzki Karola i przedziwnie ziemisty kolor twarzy Kazka przyniósł mi momentalną ulgę. Niewątpliwie spędzili oni pracowicie ostatni wieczór w Kairze i jeżeli ja czułem się źle, oni obaj z pewnością czuli się fatalnie. Kazek utracił swój zgryźliwy humor a Karol zcicha przeklinał cały świat wogóle a Kair w szczególności. Wyglądali oni jak bliźniaki, obaj skwaszeni, obaj z cierpieniem w oczach, obaj słabi jak dzieci.

Nieuprzejma urzędniczka zwróciła się nagle do Kazka:

— You have to reduce your luggage. Przekroczył pan granice wagi o czterdzieści funtów. Kazek został tak zaskoczony, że nie wiedział początkowo, co odpowiedzieć. Wreszcie wymamrotał niewyraźnie:

— I beg your pardon?

— You have to leave behind forty pounds weight! — wykrzyknęła zupełnie nie po angielsku zdenerwowana urzędniczka.

Świetna perspektywa! Po 5000 mil drogi z Anglii i przed 2000 mil lotu do granicy Tunisu mieliśmy zostawić tutaj część rzeczy, by ich prawdopodobnie nigdy już nie ujrzeć. Jak zresztą to wszystko posegregować, co zostawić? Przed wyjazdem z Anglii pozbyliśmy się wszyscy lwiej części bagażu, zabierając jedynie najpotrzebniejsze rzeczy i niezbędny ekwipunek lotniczy. Wydało mi się, że funkcjonariuszka British Airways nagle oszalała.

Znając temperament Kazka oczekiwałem jego gwałtownej reakcji. Widocznie jednak niezliczone whisky, wypite poprzedniego dnia, osłabiły jego ducha bojowego, bo odpowiedział leniwie i obojętnie:

— Take anything you want. Take this parachute, if you like. Jestem pilotem i lecę na front, więc pewnie nie będę go tam potrzebował.

Urzędniczka flegmatycznie oddzieliła spadochron Kazka od reszty rzeczy. Cóż ją mogło obchodzić, że pilot potrzebuje ekwipunku do walki. Ona miała swoje przepisy i trzymała się ich na ślepo.

Podobny los spotkał jeszcze paru z nas. Zrozpaczeni poleciliśmy w ostatniej chwili odesłać rzeczy do Dowództwa R.A.F. z prośbą, by je nam jaknajprędzej odesłano i muszę nadmienić, że po dwóch tygodniach otrzymaliśmy wszystkie bagaże spowrotem.

Załadowaliśmy się wreszcie do dwóch pasażerskich Lockheed'ow i znaną już nam trasą wyruszyliśmy do Trypolisu. Tym razem podróż nie odbyła się zbyt gładko. Lądowaliśmy w El Adem podczas burzy piaskowej i choć pilot zdecydował się na dalszy lot, defekt silnika tuż po starcie zmusił nas do zawrócenia i pozostania na noc na tym pustkowiu.

Ulokowaliśmy się w rozbitych ruderach koło starego cmentarza włosko-niemieckiego i po nadwyraz skromnej kolacji z konserw, ułożyliśmy się do snu na połamanych pryzkach.

Wczesnym rankiem przyleciał po nas nowy samolot i już bez przeszkód dostaliśmy się do Castel Benito, gdzie pozostaliśmy na noc.

Najgorszą chyba stroną tych niekończących się podróży powietrznych było ładowanie i przenoszenie własnych bagaży. Nie miałem ze sobą zbyt wiele rzeczy, spadochron, worek z ekwipunkiem i walizkę, ale każdy z tych przedmiotów musiałem niezliczoną ilość razy

przenosić z samochodu do samolotu, z samolotu do samochodu, z samochodu na kwaterę i tak dalej. Było to szczególnie męczące pod afrykańskim słońcem, które dopiekało mocno, mimo że był to dopiero początek marca. Przyznam też, że z ulgą przywitałem zapowiedź, że następnego dnia będziemy definitywnie na miejscu.

Rzeczywiście końcowa faza naszej podróży trwała zaledwie parę godzin. Z Trypolisu wystartowaliśmy na dużym amerykańskim DC2 i po dwóch godzinach znaleźliśmy się na lotnisku Huz Bub, u podnóża łańcucha górskiego na południe od Mareth Line, która była wówczas linią frontu. Lotnisko to jednak zostało opuszczone przez Wing Spitfire, ze względu na niebezpieczną bliskość frontu. Podobno nawet kilka pocisków artylerji niemieckiej wylądowało w namiocie oficerskiej mesy, co przeważało szalę. W każdym razie wystartowaliśmy stamtąd pośpiesznie, by w kilkanaście minut znaleźć się nad pięknie wyglądającym lotniskiem tuż nad brzegiem morza. Widok Spitfire'ow rozproszonych na piasku potwierdził nasze przypuszczenia, że wreszcie byliśmy na miejscu.

Wysłana po nas ciężarówka przewiozła nas do kasyna 145 dywizjonu. Wyraz „kasyno” jest oczywiście przerośnię, całe pomieszczenie bowiem to dwa zesnurowane ze sobą namioty, w których umieszczono parę składanych stołów i kilka grubo ciosanych ławek. W rogu zaimprovizowano smutną imitację baru, gdzie można było kupić papierosy lub czasem, przy specjalnej okazji, lampkę Chianti, sprowadzanego z Trypolisu. Na widok tego „baru” Kazek z Karolem wymienili porozumiewawcze spojrzenia, przyczem ten ostatni, upewniwszy się przezornie u barmana, że whisky nie było w mesie przez ostatnie cztery miesiące i nie było nadziei na następne pół roku, odwrócił się od baru z pogardą, przysięgając głośno że noga jego więcej nie stanie w tym niegościnnym miejscu.

Przyjęcia doznaliśmy doskonałego. Dowódca dywizjonu, słynny na pustyni Amerykanin, służący w R.A.F., Squadron Leader Lence Wade, posiadacz osiemnastu zwycięstw, rozpromienił się na nasz widok i zapoznawszy się z każdym z nas, przedstawił nas swym pilotom. Byli to młodzi, weseli i koleżeńscy chłopcy, pozbierani ze wszystkich części Imperjum Brytyjskiego, którzy siedząc przez szereg miesięcy na pustyni zdążyli nabrać dużo doświadczenia w nieustannych walkach z Luftwaffe. Odnieśli się oni do nas bardzo serdecznie, choć widać było że chcą poznać cośmy za jedni i co potrafimy w powietrzu. — Poczekajcie tylko — mruknął „Dziubek” przez zęby, gdy mu zwierzyłem się z tego ostatniego przypuszczenia. — Jeszczeście Polaków nie widzieli przy pracy. Niech tylko mi się coś podwinie!

Dziubkowi nieraz się „podwinęło” w ciągu następnych dwóch miesięcy i wiele razy po jego wyczynach nasi angielscy koledzy dosłownie „otwierali gęby”. Tymczasem jednak byliśmy wszyscy nowincjuszami na pustyni i postanowiliśmy sobie przez pierwsze parę dni mieć oczy szeroko otwarte, obserwować innych i nabierać doświadczenia.

Pewnego rozczarowania doznaliśmy, przyjrawszy się naszym kwaterom. Były to rozproszone na piasku namioty, gdzie mieliśmy sypiać po czterech w jednym. Na nieszczęście przez pierwsze dwa tygodnie byliśmy pozostawieni bez polowych łóżek, które musiały być sprowadzone z Trypolisu, tak że do snu układaliśmy się poprostu na ziemi, przykrywając się kocami i przeklinając systematycznie twardość afrykańskiego piasku. Mimo niewątpliwie bardzo prymitywnego trybu życia i wszelkiego rodzaju niewygód, które postaram się opisać na następnych stronach, cały nasz „Team” bez wyjątku był głęboko zadowolony, że nareszcie dobrnęliśmy na miejsce i wkrótce zaczniemy działania w powietrzu. Niemniej całe cztery dni przeszły, nim rozpoczęliśmy latanie. Było to spowodowane faktem, że samoloty dla naszej nowoutworzonej eskadry były w drodze i nadeszły dwa dni po naszym przybyciu. Oczywiście trzeba było dokonać niezbędnych inspekcji i przeglądów maszyn i obsługa ziemna pracowała niemal dzień i noc, by przygotować maszyny na dzień 16 marca, gdy wykonaliśmy pierwsze loty.

Wolny czas spędziliśmy wszyscy pracowicie, zapoznając się z lotniskiem, przepisami latania, rodzajami operacji i przyglądając się pracy innych dywizjonów. Każdy dywizjon na pustyni posiadał swój oddzielny obóz i był właściwie samowystarczalny, mając własną obsługę ziemną, tabor samochodowy i kuchnię i mesy dla pilotów i personelu ziemnego. Nasz dywizjon zajmował obszerną połą piasku na południowym skraju lotniska. Pomiędzy samolotami rozproszonymi wzdłuż piaszczystych „runways” rozbito duży namiot, zwany „ops”, gdzie urzędował dyżurny telefonista, piloci w „readiness” i dywizjonowy „intelligence officer”.

Miejsce to było mózgiem dywizjonu, tu nadchodziły rozkazy z Dowództwa „Wingu” w sprawie operacji, tu piloci dowiadawali się o najnowszych zarządzeniach i mieli rozmieszczone mapy z linią frontu i lokacją nieprzyjacielskich lotnisk, tu wreszcie składali meldunki po zakończeniu lotów.

Namioty dywizjonu rozrzucone zostały na dużej przestrzeni, by zapewnić względne bezpieczeństwo w razie ataku z powietrza, tak że masa pilotów odległa była od dispersalu o dobre pół mili. Naokoło obozu ciągnęło się kompletne pustkowie, a najbliższa miejscowość, Medenine, odległa o dobre dwadzieścia mil, to napół zrujnowana arabska miścina.

Lotnisko nasze było odległe od linii frontu o 16 mil i stałe słychać było grzmot dział, w nocy na zachodzie widniała luna, czasem nawet widać było wybuchy poszczególnych pocisków.

Na krótko przed naszym przybyciem Niemcy przeprowadzili krótkotrwałą ofensywę na Medenine, starając się zdeorganizować Ósmą Armię przed jej spodziewanym atakiem na fortyfikacje Mareth Line. Wypad ten załamał się w ogniu artylerji Anglików i od tego czasu zapanował względny spokój, obie strony przygotowywały się do ostatecznej rozgrywki.

W ciągu owych pierwszych kilku dni naszego pobytu na pustyni zdążyliśmy skonstatować, że użycie myśliwców było bardzo zbliżone do zasad stosowanych w Anglii, z tą różnicą, że ze względu na bliskość frontu, cały niemal lot bojowy odbywał się po stronie nieprzyjaciela, a dywizjony lub eskadry przybierały szyk bojowy tuż po starcie, by uniknąć zaskoczenia przez myśliwce nieprzyjaciela. Zadania myśliwców na pustyni nie wydały się nam żadną nowością. Tak jak przedtem w Anglii, dywizjony latały tutaj w osłonie bombowców, patrolowały nad linią frontu i na tyłach nieprzyjaciela, rozpoznawały żeglugę i startowały na alarm. Jedyną różnicą było to, że z reguły używano tu mniejszych formacji, prawdopodobnie ze względu na mniejszą ilość samolotów.

Jak już wspomniałem, dnia 16 marca otrzymaliśmy dziesięć nowych Spitfire V gotowych do lotu i każdy z nas wykonał krótką rundę nad lotniskiem i okolicą, zapoznając się z terenem i sposobami startu i lądowania. Zamiast bowiem asfaltowych „runways” angielskich, istniały tutaj jedynie piaszczyste pasy startowe, odznaczone zgrubsza przez szereg pustych beczek po benzynie. Startujące i lądujące samoloty podrywały zawsze chmury pyłu, trzymające się długo w powietrzu i utrudniające innym obserwację. Poza tym pyłem nie napotkaliśmy żadnych innych trudności w powietrzu.

Trudniej nieco było przyzwyczaić się do prymitywnego trybu życia. W namiotach było ciasno, ledwie wystarczało miejsca na złożenie naszych skromnych bagaży koło legowisk. Woda była cenna i racjonowana, co upraszczało niezwykle procedurę rannej i wieczornej toalety. Pomiędzy namiotami stała beczka, z której każdy był uprawniony do czerpania jednej blaszanej wanienki dziennie. Poważny kłopot i pewne zaambarasowanie sprawiło nam początkowo miejsce, popularnie zwane w Anglii „Gentlemen”. Znajdowało się ono tutaj na otwartym polu, zwyczajny duży kubeł z drewnianą pokrywą i biedny delikwent musiał zasiadać na tym instrumencie, wystawiając na widok publiczny niezbyt pociągającą część swego ciała.

Jedzenie nie było zbyt urozmaicone. Zasadniczo dostawaliśmy cztery posiłki dziennie, podczas trzech otrzymywaliśmy „bully beef” z konserw, na podwieczorek zwykle podawano herbatę i suchary z marmeladą. Suchary były duże i niezwykle twarde i Karol, który miał stale kłopoty z uzębieniem, już na czwarty dzień wyłamał sobie na nich sztuczny ząb i przez długi czas głowił się, jakby go napowrót wstawić. Chleb, jako luksus dostawaliśmy raz na tydzień. Była to racja żołnierska, wszyscy na pustyni byli równi pod względem wyżywienia i jakoś nie zdarzyło się, by ktokolwiek narzekał, mimo że niestrawność i dolegliwości żołądkowe były na porządku dziennym.

Wszyscy zato narzekaliśmy na pył piaskowy. Dostawało się to paskudztwo wszędzie, było w kocach, w ubraniach, w walizkach i workach, we włosach, w uszach i w nosach, spożywane było przez nas w każdym posiłku przenikało nawet pokrywki szczelnych zegarków. Czasem człowiek budził się w namiocie, by stwierdzić że jest napół przysypany piaskiem, czasem walizka, pozostawiona na ziemi, ginęła następnego rana i trzeba ją było wykopywać z nawianej wydmy. Z chwilą zaś rozpoczęcia wiatru z pustyni nastawało piekło. Widoczność malała do kilku metrów, niczem podczas najgorszej mgły w Londynie, piasek wciskał się wszędzie w zdwojonej ilości i nie można się było nigdzie przed nim schronić, a twarze pokrywały się grubą warstwą żółtego pyłu, który mieszając się z potem, wytwarzał brudną

papkę. W takie dni najspokojniejsi z nas przeklinali swój los i afrykańską wyprawę, a do Kazka nie można było poprostu przystąpić.

## VI PIERWSZE LOTY

Nadszedł wreszcie oczekiwany przez nas dzień. Od świtu 17 marca sześciu naszych pilotów siedziało w „stand by”, w maszynach wykołowanych na skraj lotniska, piloci gotowi do startu na rozkaz, mechanicy czekający pod skrzydłami samolotów. Rozpoczęliśmy pracę na pustyni. Poprzedniego wieczora Stach miał poważny kłopot z ustaleniem składu na następny dzień. Wszyscy paliliśmy się do działań i wszyscy, poza szczęśliwą szóstką, czuliśmy się zlekka pokrzywdzeni. Wymowny Maciek dał nawet głośno wyraz swemu oburzeniu:

— Mówiłem, że będzie protekcja. Cholera, zawsze jestem pokrzywdzony. Zobaczysz Bohdan — zwrócił się do mnie — że im coś podejdzie.

Usiłowałem mu wytłumaczyć, że przecież było nas piętnastu, a tylko sześciu było potrzebnych do służby i że następnego dnia skład się zmieni, ale sam wolałbym być w tym pierwszym składzie. Za przykładem „Zosi” Martela, chłopaka praktycznego i nie przejmującego się byle czym, zabraliśmy się po śniadaniu do wyprania naszych dobrze przybrudzonych koszul, starając się w ten sposób zapomnieć o doznanej „krzywdzie”. Po godzinnych wysiłkach koszule wyglądały nieco czystiej i z triumfem je rozwiesiwszy na sznurach namiotu, poszliśmy obejrzeć, jak nasi koledzy wyglądają przy pracy.

„Dziubek” wyglądał w maszynie, jakby za chwilę miał zemdleć. Nie był on nigdy silny, raczej o wątej budowie i siedzenie w samolocie pod palącym słońcem widocznie go męczyło. Pot spływał mu kroplami ze skroni na zapiętą „May West”, tworząc okrągłe kałuże na jego drelichowych tropikalnych spodniach. Siedział tak biedak przeszło godzinę, modląc się w duchu o szybki start.

W sąsiedniej maszynie Karol flegmatycznie zaciągał się papierosem, sprytnie chowanym w dłoni, jako że przepisy wyraźnie zabraniały palenia w samolocie. W przerwach przymierzał sobie w pokładowym lusterku sztuczny ząb, wyłamany poprzedniego dnia na twardych sucharach. Zajęcie to tak go pochłaniało, że nie raczył nawet zwrócić uwagi na nasze przybycie.

Kazek przywitał nas potokiem przekleństw:

— Panie Antoś, czy to ma być zajęcie dla starego pilota? Siedzę tu, jak w piecu, i czekam, nie wiem na co. Czy te żebraki myślą, że zdrowie na loterii wygrałem? — tu dorzucił parę soczystych wyrażen, mających charakteryzować jego stosunek do całego lotnictwa Aljantów. Znając Kazka, oczekiwaliśmy w spokoju dalszego ciągu, bo opanował on niewątpliwie sztukę przeklinania i potrafił kontynuować swe wywody całymi godzinami. W kilka jednak minut po naszym przybyciu, nadbiegł z namiotu ops telefonista, przynosząc jakąś wiadomość do Stacha, który siedział w pierwszej maszynie. Stach wymownie pokiwał ręką i w kilka sekund jego silnik prychnął dymem z rur wydechowych i zaskoczył na równych obrotach. Polski zespół startował na pierwszy lot bojowy w Tunisie. Spitfire'y zgrabnie poderwały się z piasku i zostawiając poza sobą długie ogony pyłu, zniknęły wkrótce w kierunku Mareth Line. Wolnym krokiem powróciliśmy do dispersalu, gdzie nasz intelligence officer, sympatyczny południowo Afrykańczyk, Richards; udzielił nam informacji. Koledzy nasi polecieli na patrolowanie nad Mareth Line, na wysokości 20000 stóp. Po godzinie oczekiwania dostrzeżliśmy powracające maszyny. Jedna po drugiej gładko wylądowały na ubitym piasku i podkołowały pod cysternę z benzyną. Stach wyciągnął papierosa i machnąwszy ręką na nasze natarczywe pytania, poszedł do namiotu zdać raport z lotu. Kazek był bardziej rozmowny:

— Panie Antoś, cholera, ale Szkopy dobrze tu strzelają. Mają dobrą artylerię nad tą całą Mareth Line. Mówię wam, pociski rozrywały się cały czas pomiędzy mną i „Dziubkiem” i aż mi się słabo robiło, że go mogą trafić, a przecież chłopak słaby jest, niebożę, panie Antoś. Spotkaliśmy też parę Messerschmittów, ale Szkopy szybko zwały do domu i nawet nie próbowały ich dogonić. Słabo z tą wojną, panie Antoś!

Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu Kazek stale używał w rozmowie tego „Panie Antoś”,

choć żadnego Antosia nie było w naszym zespole, ale wiedziałem, że pytanie go było bezcelowe i mogłem jedynie otrzymać niecenzuralną odpowiedź. Zostawiliśmy więc tę samą szóstkę w służbie i zabraliśmy się na obiad, mając nadzieję, że nie będzie więcej dla nich lotów.

Kończyliśmy właśnie próby przelknięcia niestrawnego „bully beef”, gdy szum silników oderwał nas od tego męczącego zajęcia. Wybiegliśmy przed namiot, by stwierdzić, że nasi koledzy znów wystartowali. Ogarnęła nas zazdrość i obawa, że mogą im przyspaść w udziale pierwsze zwycięstwa, na które wszyscyśmy polowali. Okazało się jednak, że tym razem nic ciekawego się w powietrzu nie działo, odbyli jedynie patrol nad frontem, postraszyła ich trochę artylerja, ale Niemcy się nie pokazali.

Następny dzień przeszedł nam spokojnie, obaj z Maćkiem przesiedzieliśmy całe rano w służbie „readiness”, ale dopiero popołudniu, gdy wymieniła nas następna szóstka, odbył się lot, znowu nad Mareth Line. Jak i poprzednim razem, nie było opozycji w powietrzu, tak że zakończyliśmy zajęcia bezkrwawo. Wieczorem zato czekała nas niespodzianka. Przybyły oficer łącznikowy z Ósmej Armji rozpostarł na stole w mesie pilotów mapę i krótko oświadczył, że następnego dnia o świcie Ósma Armja rozpoczyna generalny atak na fortyfikacje Mareth Line. Nastąpiło poruszenie pośród pilotów, skupiliśmy się wszyscy dokoła stołu, by w skrócie dowiedzieć się planu operacji.

Generał Montgomery, zdając sobie sprawę że przełamanie linii niemieckich frontowym atakiem, choć leżące w granicach jego możliwości, byłoby kosztowne i przyniosłoby wielkie straty, zdecydował działanie oskrzydłające. Dywizja Nowozelandzka generała Freyberg, wzmocniona bronią pancerną i artylerją, została wysłana na południe w pustynie, by obejść cały łańcuch górski na południe od Mareth Line i skrećwszy na zachód, uderzyć na tyły niemieckie. W międzyczasie reszta Ósmej Armji, wsparta całą artylerją, miała zaatakować fortyfikacje frontowo, by odwrócić uwagę i związać siły Niemców.

Przez kilka dni ogłuszał nas nieustający huk wystrzałów artyleryjskich; zamieniając się w nocy w ciągły łoskot. Ósma Armja atakowała zaciekle, ale przez pierwsze parę dni rezultaty były niewielkie, jedynie na nadbrzeżnym odcinku frontu poczyniono pewne postępy. W powietrzu również, mimo zapowiedzi intensywnych działań, było zupełnie spokojnie i dopiero 20 marca dane mi było wykonać mój pierwszy lot bojowy w Afryce. Wcześniej rano „Dziubek” wystarował na alarm w sekcji z Popkiem i udało mu się napotkać włoski samolot Macchi 202, do którego oddał kilka serji z działek. Ku zmartwieniu „Dziubka” Włoch zrezygnował z walki i zdążył uciec, wykorzystując dla osłony grubą warstwę chmur.

W południe wyznaczony zostałem na lot. Sześć naszych maszyn wystartowało w osłonie bombowców atakujących lotnisko niemieckie w Gabes. Przywitani przez ostry ogień artylerji przelecieliśmy ponad Mareth Line, która z wysokości 20000 stóp wyglądała jak normalne pustynne pole, bez widocznych śladów fortyfikacji. Przed nami w dole, tuż nad brzegiem morza zarysowało się na tle żółtawego piasku małe miasteczko, a obok niego lotnisko.

Dwanaście bombowców Mitchell wyrzuciło tam swój ładunek i zawróciło bez przeszkód na wschód. Pilnie się rozglądając za niemieckimi myśliwcami, które powinny się znajdować w tym rejonie, wykonaliśmy kilka rund nad celem, z przyjemnością skonstatowaliśmy, że bomby zostały dobrze ulokowane i zapaliły jakieś budynki na lotnisku i zakończywszy nasze zadanie przybraliśmy kierunek do bazy. Po piętnastu minutach zapaliliśmy papierosa w namiocie dispersalu. Zakończyliśmy w ten sposób dzienną pracę. Lot ten był bardzo zbliżony do dziesiątków podobnych operacji wykonanych przezemnie poprzednio w Anglii i przyniósł mi pewne rozczarowanie. Spodziewałem się bowiem, że na terenie Afryki łatwiej będzie napotkać Niemców i odnieść zwycięstwo w powietrzu. Niemniej jednak rozsądek mówił mi, że należy się uzbroić w cierpliwość i nie oczekiwać rezultatów na samym początku.

Wieczorem w mesie wszyscy mieliśmy dużo do gadania. Każdy z nas zrobił już conajmniej jeden lot i dzieliliśmy się nawzajem wrażeniami, przyczem, jak zwykle, rej wodził Kazek. Do rozmowy przyłączyło się kilku pilotów brytyjskich, naszych nowych kolegów, i przenieśliśmy się do baru, bo nadeszło z Trypolisu parę butelek Chianti. Kilka lampek wina poprawiło szybko humory, lekko zgaszone brakiem spotkań i sukcesów i rozmowa potoczyła się gładko. „Dziubek” właśnie tłumaczył jednemu z Kanadyjczyków, jak *należy* prawidłowo wymawiać pewne soczyste polskie wyrażenie, gdy poderwało nas na nogi nagłe klekotanie szybkostrzelnych działek. Całe bractwo w mgnieniu oka zginęło pod stołami, jedyną

naturalną osłoną, ktoś pośpiesznie zgasił światło. Ponad naszymi i głowami rozległo się wycie nisko przelatującej maszyny, artylerja lotniskowa rozpoczęła kanonadę, mieszającą się z głuchymi wybuchami bomb.

— Takie syny wymacali nas — szepnął z pod stołu koło mnie głos, w którym rozpoznałem Wacka Króla — Bodaj ich, nie dadzą nawet człowiekowi wina spokojnie wypić.

Z drugiego kąta namiotu rozległ się przyciszony śmiech, na który nikt jakoś nie zwrócił uwagi. W parę minut atak na nasze lotnisko został zakończony. Kilka rzuconych bomb nie wyrządziło żadnych szkód, jedynie ze stołu w mesie zginęła nienapoczęta butelka Chianti. Mimo skrzących poszukiwań nigdy jej nie odnaleźliśmy, choć mógłbym przysiąc, że ów tajemniczy śmiech pochodził ze strony Karola, którego kształty dziwnie się wydymały pod drelichową kurtką, gdy późnym wieczorem udawaliśmy się na spoczynek do namiotów. Zwolna przyzwyczailiśmy się do nowych warunków życia i pracy. Służbę podzielił Stach w ten sposób, że sześciu z nas było zajętych na lotnisku przez 24 godziny, od południa do południa, by zostać zmienionymi przez następną szóstkę. Reszta pilotów była wolna, spędzając przeważnie czas na plaży i kąpiąc się w ciepłym morzu. Latania było z każdym dniem więcej, zespół nasz wykonywał przeciętnie cztery loty dziennie, przeważnie eskortując bombowce, szczęście jednak nam nie dopisywało, nie mogliśmy napotkać nieprzyjaciela. Co niecierpliwi z nas, a do takich należał niewątpliwie Kazek, stawali się coraz bardziej rozczarowani.

— Panie Antoś, cholera — burknął kiedyś Kazek, po jeszcze jednym bezowocnym patrolu nad Mareth. Poco ja tu przyjechałem, głupi ochotnik! Szkopów niema, żarcie podłe, kości mnie od spania na piachu bolą i reumatyzmu pewnie dostanę. Zdrowie na tej pierońskiej pustyni stracę, ukochana mnie w Anglii zdradzi, a koledzy popłaczą się ze śmiechu, zem nieistniejących Messerschmittów na pustyni szukał. Goś tu panie Antoś słabo, cholernie słabo!

Nikt z nas nie brał tych wyrzekań Kazka na serjo, bo wiadomo było, że chłopisko jest wielkie i silne jak byk i lata całe mógłby na pustyni siedzieć bez uszczerbku dla zdrowia. Niemniej jednak wszyscyśmy tu przyjechali z jednakową myślą — poszukania i zestrzelenia jak największej liczby Niemców. Do tej zaś pory wyniki nasze równały się zeru.

Dnia 22 marca miałem chociaż okazję zobaczyć Messerschmitta w powietrzu. Popołudniu byłem w służbie i w pół godziny po objęciu przez nas „readiness” wystartowaliśmy na patrol nad Mareth. Po piętnastu minutach patrolowania dostaliśmy tak silny ogień artylerji, że formacja nasza na chwilę się rozpadła. Czarne dymki rozrywały się wszędzie naokoło, raz po raz widać było koło maszyn błyski wybuchów. Gdy po minucie wyleciałem z chmury artyleryjskiej, nie mogłem w żaden sposób odnaleźć reszty formacji, natomiast na milę przed sobą dostrzegłem samolot o dziwnie podejrzanej sylwetce.

— Messerschmitt — przebiegło mi przez głowę. Dałem pełny gaz i nie oglądając się już na resztę maszyn

starłem się go dopaść. Odległość jednak zmniejszała się bardzo powoli. Byliśmy obaj na równej wysokości 20000 stóp, a Niemiec leciał w kierunku swej bazy.

— Żeby tak mieć teraz Spitfire'a IX — pomyślałem z rozpaczą.

Spitfire IX był w owym czasie bodaj najszybszym samolotem myśliwskim wyprodukowanym przez Aljantów i przystosowanym do operacji na dużych wysokościach. Przed wyjazdem do Afryki miałem okazję latać na tej, najnowszej wtedy, maszynie.

Byliśmy obaj głęboko na tyłach nieprzyjacielskich, gdy mój Messerschmitt zdecydował się zawrócić, pewnie by się przekonać, kto go tak uporczywie ściga. Zciałem mu drogę, nabierając lekko wysokości. Odległość zmniejszyła się do 400 jardów, byłem do niego prawie pod kątem prostym i zdecydowałem się na wystrzelenie pierwszej serji, gdy Messerschmitt wykonał szybki wywrót i popikował pionowo do ziemi. Bez przekonania oddałem serję i wyróciłem na plecy, by za nim pogonić. Było to jednak beznadziejne. Spitfire V, obciążony tropikalnym filtrem powietrza, był niewątpliwie wolniejszy od Messerschmitta, specjalnie w pice, i Szkop oddalał się z każdą sekundą, by wkrótce stać się małą plamką na tle żółtawej ziemi. Zawróciłem do domu, przeklinając w duchu moje szczęście.

Po wylądowaniu dowiedziałem się, że reszta naszych miała również spotkanie, również bez zwycięstwa. Kilka Messerschmittów zjechało na nich od słońca i nasi mieli poważny kłopot z

wykręceniem się z niebezpieczeństwa. Władek Majchrzyk miał nawet postrzelaną maszynę i wylądował z wielkimi dziurami w skrzydłach i rozbitą tablicą rozdzielczą. Aż dziwne, że chłopak wyszedł z tego cało.

— Panie Antoś, ale nielicho zaczynamy! — zauważył po locie Kazek, wykrzywiając ponuro gębę. Jak tak dalej pójdzie, to nasz cały „wyborowy team” wykończy się w ciągu tygodnia. Maszyny nam Szkopy postrzelają, pilotów wytluką i cholerny piasek nasze szkielety przysypie. Niema głupich, panie Antoś, wypisuję się z lotnictwa i kamienie na szosie idę tłuc! „Dziubek” był chłopakiem ambitnym i niesłuchanie zaciętym. Nasza porażka, mimo że nie dotknęła go osobiście, zdawała się przejmować go więcej, niż kogokolwiek innego i gadanina Kazka widocznie go zdenerwowała, bo uciął krótko:

— Ja<sup>ci</sup> mówię Kazek, że my tu jeszcze Szkopów natłuczemy. Co się źle zaczyna to się dobrze kończy, a ty głupi jesteś z tym ustawicznym narzekaniem!

Zanosilo się na poważniejszą sprzeczkę, bo Kazek nieskory był do ustępowania, ale dowódca dywizjonu, Wadę, przerwał nam, oznajmiając, że nasz Team otrzymuje nowe samoloty, owe sławne Spitfire'y IX. Maszyny były gotowe w Algierze i następnego dnia piloci mieli polecieć by je stamtąd odebrać. Oczywiście zapomnieliśmy od razu o wszelkich nieporozumieniach. Na nowych maszynach mieliśmy naprawdę duże szansę.

Było jeszcze ciemno, gdy mnie ktoś szarpnął za ramię:

— Breakfast is ready, sir — wykrzyknął służbowy szeregowiec z mesy, który miał polecone obudzić wszystkich pilotów, lecących do Algieru. Obudziłem z kolei Maćka i Karola wyznaczonych na ten lot i po pobieżnej toalecie ruszyliśmy na śniadanie. W mesie zastaliśmy resztę uczestników wyprawy. Ciężarówka zawiozła nas na sąsiednie komunikacyjne lotnisko, a po czterech godzinach lotu Hudson'em wylądowaliśmy w Maison Blanche pod Algierem. Po załatwieniu niezbędnych formalności, pobraniu map i zakupieniu wielkich ilości pomarańcz, wszystko było gotowe do powrotnego lotu. Całą przestrzeń mieliśmy pokryć bez międzylądowania i pod samoloty podczepiono wielkie 90 galonowe dodatkowe zbiorniki, bo zasięg Spitfire IX nie pozwoliłby na przelecenie tak wielkiej przestrzeni.

Spitfire'y obciążone dodatkowym balastem ciężko poderwały się z ziemi. Wykonaliśmy rundę nad lotniskiem i skierowaliśmy się w stronę wysokiego łańcucha górskiego, leżącego na naszej trasie. Po dziesięciu minutach lotu osiągnęliśmy umówioną przed lotem wysokość 20000 stóp i rozpoczęliśmy oddychać przez maski tlenowe. Dodatkowe zbiorniki funkcjonowały prawidłowo i lot odbywał się normalnie. Przelecieliśmy ponad górami południowo-zachodniego Algieru, pokrytymi jeszcze o tej porze warstwą śniegu i znaleźliśmy się nad pustynią z błyszczącymi w słońcu taflami słonych jezior.

Po godzinie lotu sprawdziłem tlen i z zaniepokojeniem stwierdziłem, że wskazówka zegara mocno przesunęła się w lewo. Została mi zaledwie połowa zawartości butli.

Byliśmy niemal dwie godziny w powietrzu, gdy na horyzoncie zarysował się nowy łańcuch górski. Były to już bardziej znajome okolice. Mój zapas tlenu był jednak na wyczerpaniu, a na domiar złego popsulo mi się radio i nie mogłem porozumieć się z sąsiednimi maszynami. Zdecydowałem obniżyć wysokość i lecieć dalej sam. Podleciałem do maszyny pułkownika Rolskiego, który prowadził moją czwórkę, kilkakrotnie wskazałem na moją maskę tlenową, poczem pokiwawszy skrzydłami obniżyłem lot. Po kilku minutach zostałem sam, reszta maszyn zniknęła w górze na tle jaskrawego nieba.

Nie zwracając poprzednio zbyt wielkiej uwagi na nawigację, starałem się obecnie odnaleźć własne położenie. Nie było to zbyt łatwe, bo wokoło rozciągała się pustynia. Leciałem dalej po tym samym kursie, wiedząc że powinienem być gdzieś z południowej strony gór koło Mareth Line. Rozejrzawszy się dokoła stwierdziłem w pewnym momencie, że za mną lecą jeszcze dwie maszyny. Byli to Karol i Kazek, którym również zabrakło tlenu. Zupełnie już uspokojony przymknąłem gaz, dając Karolowi pierwszeństwo w prowadzeniu. Karol jednak bynajmniej się do tego nie palił, również przymykając gaz, a Maciek wyraźnie trzymał się z tyłu, złośliwie machając skrzydłami. Postanowiłem ich wykiwać i ostrym zakrętem starałem się im wejść na ogony. Obaj jednak wykonali ten sam manewr i przez następne parę minut kręciliśmy się wszyscy trzej, niczem podczas prawdziwej walki. Dałem wreszcie za wygraną, przeklinając ich w duchu, i przybrałem znów kierunek północno-wschodni. Zapadał powoli zmrok, robiło się szarawo, ogarnął mnie niepokój, że może zagubiłem się gdzieś nad pustynią i wypadnie mi tu lądować. Po kilkunastu długich minutach dostrzegłem wreszcie w oddali

błyszczący pasek morza. Dodałem gazu i wkrótce znalazłem się nad wybrzeżem, by zorjentowawszy się według mapy wykręcić do bazy. Jeszcze dziesięć minut i wylądowałem w Bu Grara, goniony przez cały czas przez mych współtowarzyszy.

— Ale miałeś gaz, jakbyś uciekał przed Messerschmittami — zawołał na ziemi rozszłoszczony Maciek, który z trudnością mógł się za mną utrzymać w powietrzu.

— Trzeba było samemu prowadzić, jakeś taki mądry. Ja was nie prosiłem, byście mi się plątali za ogonem — odparłem, ostrożnie wypakowując z maszyny worek z pomarańczami. Na widok dawno nieoglądanych owoców reszta naszego bractwa przerwała nam rozmowę i w kilka minut zostało mi zaledwie parę sztuk, które pośpiesznie schowałem do kieszeni, by ocalić chociaż resztki.

Pomimo otrzymania nowych samolotów następne dwa dni spędziliśmy na ziemi. Zerwała się burza piaskowa i pierwszego rana obudziło nas wycie wiatru i łopotanie płacht namiotowych, które, wyrwawszy podtrzymujące je kołki, waliły systematycznie po naszych głowach. Klnąc głośno wstałem z legowiska, by przekonać się, że byłem napół przysypany. Ubrania nie mogłem odnaleźć i dopiero po dłuższym grzebaniu w piasku odkopałem koszulę, by przez następne pół godziny zмагаć się z wichurą, naprawiając namiot. Na pocieszenie stwierdziłem, że sąsiednie namioty również ucierpiały, a jeden z nich zniknął z powierzchni ziemi, zostawiając swych lokatorów, czterech Australijczyków, pod gołym niebem. Burza trwała przez całe dwa dni, które spędziliśmy siedząc w mesie, przeklinając afrykańską pogodę i wyczesując z głów całe garście piasku.

## VII PIERWSZE ZWYCIĘSTWA

Minęło jedenaście dni od pierwszego bojowego lotu, gdy wreszcie nasz Team odniósł pierwsze dwa zwycięstwa.

Przed południem tego pamiętnego i zwrotnego dla nas dnia piątka naszych wystartowała jak zwykle na patrol na tyłach nieprzyjaciela. Po półgodzinnym patrolowaniu w okolicach miasteczka Sfax, Stach, prowadzący patrol, dostrzegł formację sześciu bombowców niemieckich, Junkersów 88, eskortowanych przez dziesięć Messerschmittów. Będąc wyżej od nieprzyjaciela nasi wykorzystali kompletne zaskoczenie i spływając z góry poprzez niespodziewające się niczego Messerschmitty zaatakowali bombowce. Było to nieco ryzykowne ze względu na nierówność sił, ale Stach poprowadził naszą piątkę tak umiejętnie, że po kilkunastu sekundach walki dwa z bombowców, śmiertelnie trafione przez pociski Stacha i „Dziubka”, roztrzaskały się o ziemię, a eskortujące myśliwce nieprzyjaciela wycofały się z pola walki, nie próbując nawet bronić swych kolegów. Zwycięstwo było pięknie wywalczone, ale Stachowi tego nie wystarczyło. Ponieważ w toku walki wszyscy obniżyli wysokość, znajdując się tuż nad ulicami miasta, Stach postanowił zaatakować ziemię. Trzeba trafu że tuż pod nim przejeżdżały cztery wielkie ciężarówki, wylądowane po brzegi żołnierzami niemieckimi, którzy z zaciekawieniem gapili się do góry, przyglądając się walce. Głupcy, nie wiedzieli co ich czeka. Maszyna Stacha zwała się na nich z wyciem silnika, otwierając morderczy ogień z kilkudziesięciu metrów. Wszystkie cztery samochody stanęły w płomieniach, ulica zaśłała się trupami Niemców, a jedynie nieliczni szczęśliwcy znaleźli schronienie w bramach domów.

Wszyscy nasi wrócili cało do bazy.

Nareszcie odnieśliśmy dawno oczekiwane zwycięstwa i wszyscy byliśmy z nich dumni, choć trochę nas kłuło uczucie zazdrości. Kazek, jak zwykle, głośno wyraził swoje zdanie:

— Ty Dziubek łachudro masz szczęście, panie Antoś! Słabe to, że tylko trącić a się rozleci, a Szkopa, panie Antoś, jak ktoś spruje, to właśnie on. Sprawiedliwości na tym parszywym świecie niema. — Tu Kazek zręcznym chwytem obalił nieszczęśnika na piasek i począł demonstrować, coby on zrobił, gdyby tylko miał szczęście napotkać Junkersa.

— Kazek, ja ci coś powiem, tylko mnie puść — wyjąkał wreszcie „Dziubek”, z trudem łapiąc powietrze w otwarte usta. Uwolniony z niedźwiedzich uścisków, oddalił się na bezpieczną odległość i wykrzyknął:



— Wiesz co ci powiem Kazek?! Głupi byłeś, jesteś i będziesz. Mógłbym ci coś więcej powiedzieć, ale nie chcę twoich rodziców obrazić. —  
Nadejście naszego intelligence oficera zapobiegło dalszej rozprawie. „Spy” z rozpromienioną miną przyniósł najświeższe wiadomości z frontu:

— Nowozelandczycy odnieśli zwycięstwo i nieprzyjacielowi grozi kompletne okrążenie i odcięcie. Mareth Line już właściwie nie istnieje, Niemcy się ewakuują, główne ich siły znajdują się na linii Gabes i wycofują na zachód w stronę Wadi Akarid, gdzie prawdopodobnie stawia następny opór. Bitwa o Mareth Line zakończona naszym kompletnym sukcesem. —

Dwa dni znów minęły, wypełnione licznymi patrolami i eskortami bombowców nad nową linię frontu. Według przewidywań Niemcy stawili zaciekły opór pod Wadi Akarid i Ósma Armja, po nawiązaniu kontaktu z oddziałami amerykańskimi rozpoczęła się przegrupowywać do następnego ataku.

Dnia 2 kwietnia mieliśmy tylko cztery maszyny gotowe do lotu. Burza piaskowa, szalejąca uprzedniej nocy, przysporzyła wiele roboty i kłopotów mechanikom, starającym się od rana przyprowadzić resztę maszyn do stanu gotowości. Dzień był gorący i parny, to też bez większego entuzjazmu szedłem do służby „stand by”, czyli gotowości w samolocie. Było nas czterech, Stach, „Dziubek”, Marcin Machowiak i ja. Reszta pilotów poszła na plażę i siedząc w rozprężonej maszynie mogłem wyraźnie ich widzieć, jak ściągali z grzbietów koszule, gotowi do odświeżającej kąpieli. W kabinie było niemożliwie gorąco, pot spływał mi ciurkiem po ciele, nieprzyjemnie łaskocząc na skroniach, hauba przylepiała się do mokrych włosów, rozgrzany metal parzył przy dotknięciu. Rozpoczynała się afrykańska wiosna. Modliłem się w duchu, by nas jaknajprędzej poderwano, w powietrzu bowiem zawsze było chłodno i przyjemnie.

Spocony telefonista podbiegł do maszyn i z trudem złapawszy oddech wykrzyknął:  
— Polish Flight, take off. Patrol Gabes! — Maszyna Stacha wykołowała do przodu.

Nacisnąłem

guzik starteru i silnik, prychnąwszy kilka razy, począł pracować. Przelecieliśmy ponad Mareth Line, przez którą obecnie ciągnęły długie kolumny naszych transportów, i nabierając ciągle wysokości zbliżaliśmy się do Gabes. Kontroler z ziemnej stacji radiowej podał nam kierunek w stronę samolotów nieprzyjaciela, byliśmy już niemal nad linią frontu.

— Uważajcie na wybuchy artylerji przeciwlotniczej. Strzelają właśnie do Niemców — poinformował nas głos z ziemi.

Z lewej strony przed nami pojawiła się chmura czarnych dymków, a pomiędzy nimi szereg punkcików — to Niemcy. Byli parę tysięcy stóp poniżej i Stach rozpoczął lekko pikować dla nabrania szybkości. Przez radio usłyszałem jego głos:

— Atakujemy, uważać na słońce! —

Punkciki przemieniły się w wyraźne sylwetki Messerschmittów. Było ich około piętnastu i wracały na zachód z ponad linii frontu. Wpadliśmy na chwilę w ogień własnej artylerji i zgubiliśmy ich z oczu. Za moment zobaczyliśmy ich znowu, już znacznie bliżej i Stach rozpoczął atak, nie przejmując się bynajmniej przewagą liczebną Szkopów.

Wybrałem dwójkę, lecącą spokojnie i nie spodziewającą się ataku. Złożyłem się do prowadzącej maszyny i z 300 metrów oddałem krótką serję. Z kadłuba Messerschmitta posypały się odłamki metalu, silnik począł mu dymić na czarno.

— Tylko tak dalej, Bohdan — szepnąłem sam do siebie. Podeszedłem do Niemca jeszcze bliżej, by go wykończyć,

i nacisnąłem ponownie spust. Ku mej rozpaczy, zamiast spodziewanego klekotania działek panowała cisza! Wszystkie moje działka i karabiny maszynowe się zacięły i zostałem bezbronny. Nietylko nie mogłem teraz strzelać do Szkopów, ale sam z łatwością mogłem się stać ich ofiarą! Jak się później dowiedziałem, zjawisko zacinania się broni było powszednie na pustyni ze względu na wciskający się wszędzie pył piaskowy.

Byłem tak blisko mego Messerschmitta, że gdybym miał ze sobą pistolet, mógłbym go chyba ustrzelić. Trzeba jednak było zakończyć walkę. Wyrwałem ostrym skrętem do góry, w samą porę, bo dostrzegałem kątem oka drugiego Niemca, starającego mi się wejść na ogon i zaciekle do mnie strzelającego. Podciągnąłem ostrzej maszynę w skręcie i minąłem się z atakującym mnie Szkopem łeb w łeb. Za chwilę zgubiliśmy się obaj w chmurze ciągle

strzelającej artylerji. Zostałem sam i nie mając nic do roboty na polu walki, zawróciłem do bazy, lecąc nad brzegiem morskim i starając się jak najprędzej znaleźć nad własnymi linjami. Byłem już niedaleko linii frontu, gdy przezornie się rozglądając dokoła, dostrzegłem z tyłu w górze dwa punkciki.

— Aha — pomyślałem — reszta naszych również wraca. Na wszelki wypadek postanowiłem obserwować te samoloty i leciałem dalej spokojnie. Dwójka wyraźnie się zbliżała i po chwili stwierdziłem, że „nasi” to Messerschmitty, niedwuznacznie polujące na moją skórę. Zrobiło mi się nieco głupio. Będąc pozbawiony uzbrojenia czułem się bezbronny jak małe dziecko. Postanowiłem wykiwać Szkopów, bo nigdy chyba własna skóra nie wydawała mi się tak cenna, jak obecnie. Niczem sienkiewiczowskiemu Zagłobie zaczęły mi się cisnąć do głowy różno fortele, żaden jednak nie wydawał mi się odpowiedni, a tymczasem Messerschmitty były coraz bliżej, mając przewagę zarówno wysokości, jak i szybkości.

— Jestem z dwoma Messerschmittami na zachód od Gabes — podałem przez radio, mając nadzieję, że może któraś z naszych maszyn będzie w pobliżu.

— Bohdan nieboże, masz może kawałek sznurka? Złap je na laso i przyprowadź do domu — padła odpowiedź, w której rozpoznałem głos Kazka, widocznie będącego na ziemi w stacji radjowaj.

Po minucie Messerschmitty zdecydowały się na atak. Prowadzący zwałił maszynę na skrzydło, pikując wprost na mnie, druga maszyna poszła w jego ślady. Ogarnęła mnie złość.

— Czekać cholery, łatwo mnie nie złapiecie — mruknąłem pod nosem.

Wykonałem ostry podciągany skręt w ich stronę, uniemożliwiając im odłożenie odpowiedniej poprawki i minąłem się z pierwszym Niemcem o kilka metrów, rozglądając się za drugim. W tym momencie coś mi podrzuciło maszynę, a z mego prawego skrzydła posypały się odłamki blachy. Drugi Messerschmitt, strzelając prawie łeb w łeb, szczęśliwym dla niego strzałem trafił mnie w nasadę karabinu maszynowego. Skrzydło rozdeło się niemal do grubości kadłuba samolotu. Niemniej zawróciłem za Niemcami, pikującymi teraz wdół, i starałem się ich przestraszyć udawanym atakiem. Manewr się udał. Niemcy nie chcieli ryzykować dalszej walki, mając mnie na ogonach i nie wiedząc że im nic nie mogłem zrobić, i popikowali przed siebie, ginąc gdzieś w dole na tle morza.

W słuchawkach rozległ się głos Stacha:

— Halo, Bohdan, czy jesteś w porządku? —

— Tak — odpowiedziałem — tylko maszynę mam postrzelaną, ale chyba dociągnę do bazy.

Pozatym uszkodziłem jednego Szkopa. —

— Ja mam jednego — wtrącił się „Dziubek”.

— Zrąbałem jednego i uszkodziłem drugiego — dodał Marcin Machowiak.

— Dobra jest. Ja też mam jednego. Wszyscy wracać do bazy — zakończył Stach.

Moja maszyna trzymała się jakoś powietrza i niemal bez trudu wylądowałem w Bu Grara.

Złożyliśmy kolejno raporty z lotu i poszliśmy obejrzeć dokładnie mojego Spitfire'a. Skrzydło było rozharatane porządnie, porwane blachy i wygięta lufa karabinu maszynowego świadczyły, że Niemcy też potrafią celnie strzelać i niewiele brakowało aby mnie wykończyli.

— Ale cię łajdak trafił — zadziwił się Maciek — Miał szczęście wycelować z takiej pozycji.

— No, dobrzeście ich zato spruli — ucieszył się „Zosia” Martel, rozpromieniony, jakby sam wrócił z walki. — Pewnie teraz Szkopy sobie w gęby pluja. Piętnastu ich było i tak się dali podejść przez czterech! —

Marcin Machowiak nie mógł się nadziwić głupocie swoich ofiar:

— Zobaczyłem trzy, jeden za drugim kręcące się w kółko. No to ja na czwartego za nimi.

Strzelam do ostatniego, poszedł w dół z dymem. No to ja do drugiego, zapalił się po jednej serji. No to ja do trzeciego, ale ten już mi uciekł — Marcin pokiwał z żalem *głową* — Takie głupie Szkopy! —

Jeden Kazek nie brał udziału w rozmowie, nerwowo obgryzając palce. Wreszcie nie wytrzymał i jak zwykle wpadł na „Dziubka”:

— Takie chuchro, cholera, co to się samo rozlatuje, a szczęście ma, panie Antoś. Porządny człowiek haruje codziennie nad tą plugawą pustynią, nalata się jak głupi i nic, a ten łachmaniarz, co polecą, to spruje i już drugiego zdążył wyprawić na tamten świat! —

— Ty Kazek daj spokój, mówię ci. Odczep się raz odemnie, bo ci wreszcie ten głupi łeb

rozwałę — odgryzał się „Dziubek”, schowawszy się przezornie za szerokie plecy Karola.  
— Polish flight released — wmieszał się do rozmowy dowódca dywizjonu — należy się wam odpoczynek po takiej robocie. —  
Kazek z „Dziubkiem” pierwsi ruszyli zgodnie do mesy. Reszta pilotów pociągnęła za nimi, dyskutując po drodze nad odniesionym sukcesem. Zostałem na chwilę w namiocie, by przeczytać raporty pilotów i przez płócienną ścianę usłyszałem oddalający się głos Marcina:  
— Takie głupie Szkopy...

## VIII NIEMCY UCIEKAJĄ

— Patrolowaliśmy według rozkazu nad Gabes, gdy stacja ziemna podała nam kierunek na maszyny nieprzyjacielskie — dwa dni po mojej przygodzie z dwójką Messerschmittów Stach składał meldunek z następnego pomyślnego lotu. — Dostrzegłem siedem Junkersów 88 i około dwunastu Messerschmittów osłaniających je z góry. Zaatakowaliśmy całą eskadrę. Oddałem serję do Junkersa, ale nie czekając na rezultat zaatakowałem z kolei dwa Messerschmitty, które się akurat podwinęły. Tym razem również nie widziałem rezultatu. Byłem już na wysokości tysiąca stóp, gdy zobaczyłem jeszcze jednego Messerschmitta, którego sprułem. Rozbił się o ziemię w tym rejonie — Stach pokazał na mapie miejsce, gdzie spoczęła jego ofiara. — Bardzo ładnie się palił. —

Stach składał swój raport spokojnie i rzeczowo, jak by mały chłopak wypowiadał dobrze wyuczoną lekcję. Niktby się nie spodziewał, że ten szczupły, zawsze uśmiechnięty i uprzejmy mężczyzna, wyglądający niezwykle młodo na swoje 29 lat, zestrzelił właśnie swą siedemnastą maszynę niemiecką. Na ziemi był on stale skromny i raczej zażenowany szacunkiem, którym go otaczali koledzy i przełożeni, dopiero w powietrzu zmieniał się do niepoznania i był niewątpliwie jednym z najlepszych pilotów i dowódców, jakich spotkałem w mej długiej karierze wojennej. Tym razem również z jego opowiadania można było wywnioskować, że eskadra nasza zestrzeliła dwóch Niemców bez żadnych kłopotów i trudności, jakby przypadkiem. W rzeczywistości jednak zwycięstwo wywalczone było ciężko w spotkaniu z przeważającym przeciwnikiem i jedynie śmiałość i zdecydowane dowodzenie Stacha i brawura i doświadczenie reszty pilotów dopięły celu.

Raport Wacka Króla był również krótki. Wacek miał pewne kłopoty z językiem angielskim i jeszcze rozemocjonowany walką, nie mógł się dobrze wysłowić. Zakląwszy wreszcie dosadnie po polsku, spróbował od nowa:

— I saw twelve Messerschmitts 109 and attacked one of them from astern, and . . . and ... no pomóżcie mi, cholera! — dodał w naszą stronę po polsku.

— No powiedz, panie Antoś, coś z nim zrobił. Pocałowałeś go, czy co? — pomógł mu Kazek.

— I gave him a long burst from 300 yards and he crashed on the ground — dokończył Wacek, szeroką gestykulacją wspomagając swój ubogi słownik.

— Ale mam pecha — „Zosia” był niepokieszony — Zaatakowałem Niemca z 200 jardów, tak że wyraźnie widziałem krzyże na jego skrzydłach. Po pierwszej serji zadymił na czarno. Podeszedłem na 100 jardów, a tu działka i karabiny się zacięły i uciekł mi, taki syn. Zupełnie jak tobie, Bohdan — dodał w moją stronę, na co pokiwałem jedynie ze zrozumieniem głową.  
— Będziemy musieli sprawdzać broń przed każdym lotem zauważył Stach. — Dwóch Niemców już nam uciekło przez te zacięcia działek. —

„Dziubek” spojrział na niego przeciągle i powiedział, jakby odniechcenia:

— Bardzo proste. W każdym locie można wystrzelać jedną, lub dwie serje w morze, albo w niemieckie transporty na szosach i w ten sposób połączyć przyjemne z pożytecznym. —

Pomysł „Dziubka” nie można było jednak od razu zastosować. Następnego dnia znana już nam dobrze burza piaskowa uziemiła wszystkie maszyny i uniemożliwiła loty. Wieczorem znajoma postać oficera łącznikowego z Ósmej Armji pojawiła się w namiocie mesy. Znaczyło to, że szykuje się coś poważnego na ziemi.

— Gentlemen — zaczęła, gdy zebraliśmy się koło niego. — Jutro rano Ósma Armja

rozpoczyna atak na Wadi Akarid. —

Tak jak przed bitwą o Mareth Line, nastąpiło poruszenie wśród pilotów. Wiedzieliśmy wszyscy, że Wadi bronione było równie silnie, jak Mareth, z tą różnicą, że tym razem nie było mowy o operacji oskrzydłającej, ze względu na pas słonych jezior, sięgających bardzo głęboko w pustynię.

— Tym razem uderzymy frontalnie na wąskim odcinku. Jutro do południa osiągniemy następujące cele — tu na rozpostartej mapie pokazał nam omawiane punkty — Jutro popołudniu rozpoczniemy pościg za cofającymi się Niemcami. —

Zastanowiła nas ogromna pewność siebie tego człowieka. Jeden z brytyjskich pilotów dał wyraz naszym wątpliwościom:

— It is very nice indeed — zauważył sceptycznie. — Ale co będzie, jeżeli wam się nie uda? Oficer piechoty uśmiechnął się szeroko:

— Well, gentlemen, pamiętacie zapewne, że od czasów El Alamein systematycznie przychodziłem do was przed każdym atakiem i podawałem wam plan operacji. Czy chociaż raz coś nie poszło według planu? Zresztą przekonacie się sami jutro. Na zakończenie chcę was prosić, byście po każdym locie podawali do Intelligence wszystkie spostrzeżenia o ruchach niemieckich. Oczywiście nie potrzebuję wam przypominać, że potrzebujemy kompletnej przewagi w powietrzu — tu znów twarz mu się rozjaśniła. — Po ostatnich zresztą waszych sukcesach i po zwycięstwach naszych polskich kolegów, nie będzie trudno utrzymać Luftwaffe zdaleka od pola walki. Good night, gentlemen. —

— Panie Antoś, ale nam zaszurał! — przerwał ciszę Kazek. — Coś mi się nie chce uwierzyć, żeby Szkopy tak łatwo portki pogubiły. Zobaczycie, że postoiimy przed tą Wadi Akarid ze dwa tygodnie. —

— Panowie, od jutra zaczynamy stałe patrole nad Hnją frontu. Będziemy latać na zmianę, tak żeby każdy miał conajmniej po trzy loty. —

O świcie wystartowaliśmy na pierwszy patrol nad Wadi i daleko przed celem widzieliśmy, że nasza artylerja nie próżnowała. Cała dolina pokryta była brudno białym dymem, w tumanach którego wybuchały raz po raz pociski. Coś się tam kotłowało, ale gęsty pył, unoszący się nad polem walki, utrudniał obserwację. Nasze bombowce zrzucały niemal bezustannie potężny ładunek na pozycje niemieckie, bez żadnej opozycji myśliwców nieprzyjaciela. Po godzinie lotu skończyliśmy patrol i zlurowani przez sześć samolotów następnej eskadry, wylądowaliśmy w bazie.

Ledwie mechanicy zdążyli uzupełnić nam Spitfire'y, zostaliśmy poderwani na następny lot. Zanosilo się na pracowity dzień. Tym razem leciał inny skład i moje zajęcie ograniczyło się do obserwacji z ziemi. Sześć maszyn łagodnym zakretem przybrało kierunek zachodni i szybko zniknęło na horyzoncie. Dla spędzenia czasu poszliśmy do namiotu ops po najnowsze wiadomości. Zastaliśmy tam Richardsa, który zapamiętane kreślił coś na mapie.

— Hullo boys — przywitał nas flegmatycznie — chcecie pewnie najnowszy „gen”. Nasze oddziały przełamały linię frontu na środkowym odcinku. Jednostki pancerne rozpoczynają pościg za cofającym się nieprzyjacielem. —

Nasi piloci po wylądowaniu potwierdzili te wiadomości.

— Ale ruch na ziemi, zupełnie jak na Piccadilly — ucieszył się Karol.

— Widzieliście tę kolumnę na zachód od Wadi? Chyba ze sto samochodów — przerwał mu „Dziubek”, starając się wyszukać na mapie położenie swej kolumny. — Look, Richards, about 100 German lorries in this area moving eastwards. —

— Nasza artylerja strzela już poza Wadi. Muszą mieć jakieś specjalne dymne pociski ... —

— Widzieliście jak Szkopy wysadzili w powietrze ten most kolejowy? Cholerny wybuch. O właśnie tutaj — Bronek Malinowski wskazał palcem na mapie.

— Polish flight take off. Patrol front line — wykrzyknął dyżurny telefonista.

Trzeci, czwarty i piąty patrol nie przyniosły nic nowego. Obserwowaliśmy z powietrza, jak nasze oddziały pancerne, przeszedłszy Wadi, rozciągnęły się w pogoni za Niemcami.

Dywizjony Kittyhawk'ow i MitchelPi atakowały skupienia nieprzyjaciela. Naszym zadaniem było ubezpieczanie innych i ewentualnie zwalczanie myśliwców wroga, to też nie mogliśmy wziąć udziału w tej zabawie.

Pod wieczór wylecieliśmy na szósty i ostatni tego dnia patrol. Tym razem szczęście nam dopisało. Koło miasteczka Sfax napotkaliśmy kilka Messerschmittów. „Dziubek”, Wyszkowski i Majchrzyk, będąc najbliższymi, zaatakowali, ale w wieczornej mgle nasza

formacja się rozbiła i do bazy wracaliśmy pojedynczo. W pięć minut po mnie wylądował Wyszkowski.

— Zobaczyłem Messerschmitta, który po moim ataku poszedł w dół z gęstym czarnym dymem. Nie mogłem go wykończyć, bo zaatakowały mnie dwa inne, tak że ledwie się im wykręciłem — składał raport — Zgłaszam go jako prawdopodobnie zniszczonego. — Wladek Majchrzyk miał również walkę z dwoma Szkopami i tym razem wyrównał rachunek za swą poprzednio uszkodzoną maszynę.

— Oddałem trzy krótkie serje do prawego Niemca i widziałem, jak mu się z kadłuba kawałki posypały, a koniec lewego skrzydła odleciał. Niestety ich potem obu zgubiłem w tej mgłę. — Czekaliśmy jeszcze na powrót „Dziubka”.

Zapadł mrok, zrobiło się ciemno, a „Dziubka” ciągle nie było. Poczuliśmy się poważnie niepokoić. Kazek obgryzał ze zdenerwowania palce, nie mogąc usiedzieć na miejscu i widać było, że strata ukochanej nie obeszlaby go tak głęboko, jak zaginięcie przyjaciela, do którego mimo pozorów był głęboko przywiązany.

— Mówiłem wam, panie Antoś, że zrabia chłopaka. Bodaj to cholera wzięła — powtarzał zrozpaczony.

— Za ostry był i za ambitny. Pchał się do walki za wszelką cenę, to go wkońcu dopadli, a szkoda, dobry był pilot z niego. — Maciek był święcie przekonany, że straciliśmy kolegę. — Zawsze lepiej w kupie się trzymać, a nie na pojedynczego szczęścia szukać. —

Głęboki bas Karola wtrącił się do rozmowy:

— Czyście zwarjowali, matoly jedne! Założę się z każdym o mój sztuczny ząb, że on siedzi gdzieś teraz spokojnie i śmieje się z was wszystkich, popijając podwójną whisky. A jak się okaże, że zestrzelił on jeszcze parę Szkopów, to ty Kazek zdechniesz chyba ze złości! — Jednak do późnego wieczora nie nadeszły żadne wiadomości o „Dziubku” i powoli pogodziliśmy się z myślą, że ponieśliśmy pierwszą stratę.

— No cóż, wojna jest — starałem się sam siebie pocieszyć. — Nie można stale Szkopów strzelać i wychodzić bez szwanku. —

Niemal o północy rozeszliśmy się do namiotów z przygaszonymi humorami i długo w nocy nie mogliśmy usnąć, rozmawiając o zaginionym koleźce.

Podczas śniadania jeszcze dyskutowaliśmy nad wczorajszym lotem i „Dziubkiem”. Nasza eskadra była w 30 minutowym pogotowiu i nikomu nie śpieszyło się na lotnisko. Siedząc okrakiem na twardej ławce Maciek zabawiał się w wyrocznie:

— Ja dawno wiedziałem że on zginie. Zawsze mam takie wyczucie i nigdy się nie mylę. Jak chcecie, to mogę wam zaraz powiedzieć, kto jest następnym kandydatem na... —

W tym momencie przerwał i z ogłupiałą miną wybałuszył oczy na wejście do namiotu. Napół otwarte usta mamrotały jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Do mesy tanecznym krokiem wtoczył się „Dziubek” i zapaliwszy papierosa, usiadł na połamanym krześle:

— Czołem panom, jak smakowało śniadanie? Prawda że dziś piękna pogoda? —

Kazek pierwszy ocknął się z zaskoczenia.

— Dziubek, ty dziadu szemrany, ty obrazo rodzaju ludzkiego, panie Antoś, czego kolegów straszysz! Gdzieś ty się niedołego podziewał? ! —

„Dziubek” spokojnie przyglądał zwichrzone włosy i odparł odniechcenia:

— Ano cóż, trochę mnie postrzelali, więc musiałem przymusowo lądować w Gabes.

Pierwszorzędny gin tam chłopaki mają. Przespałem się tam i przywieźli mnie dziś rano samochodem, bo mój grat niebardzo zdatny do użytku. Daj papierosa, Bohdan. —

Mimo że „Dziubek” od miesiąca palił niemal bez przerwy moje papierosy, wyciągnąłem bez sprzeciwu paczkę Players.

— Myśmy tu już po dwie double whisky na twoją intencję wypili — skłamałem bez zająknienia.

Kazek począł się niecierpliwić:

— No powiedz żebraku po ludzku, co się z tobą działo, bo jak cię rąbnę w czachę, to ci się te chude patyki, co je nogami nazywasz, połamią. —

Dopiero jednak nadejście Stacha zmusiło „Dziubka” do dokładnego opowiedzenia swych przygód.

Zobaczył on pojedynczego Messerschmitta i zaatakował go tak ostro, że maszyna Niemca

zapaliła się po drugiej serji a pilot wyskoczył ze spadochronem. W tym momencie opadły go cztery inne Messerschmitty. „Dziubkowi” zjeżyły się włosy na głowie i począł się pomiędzy nimi wywijać, nie dając za wygraną i chcąc jeszcze jednego zestrzelić, jako że chłopak był zacięty. Przewaga Niemców była jednak zbyt wielka. Jeden z nich wszedł mu na ogon i tak dobrze wycelował, że z kolei maszyna „Dziubka” stanęła w płomieniach:

— Myślałem już, że trzeba skakać. Przewróciłem grata na plecy, a tu ogień zgasł, jak uciał.

Szkopy poleciały do domu, myśląc pewnie że ze mnie już kawał zimnego trupa, a ja pomyślałem, że szkoda Spitfire'a tracić i postarałem się dociągnąć do Gabes. Miałem jeszcze ponad dziesięć tysięcy stóp i jakoś splanowałem na lotnisko. Podwozie się otworzyło, ku memu zdziwieniu, bo było szpetnie postrzelane, no i wylądowałem cało. Przespałem się tam, bo było już późno i chciałem dzisiaj rano do was przylecieć, ale z maszyny niewiele zostało, podziurawiona, jak ser szwajcarski. Dostałem więc samochód, no i jestem spowrotem. — Przybyłym pilotom angielskim gęby się pootwierwały na widok popularnego między mimi „Dziubka”.

— Good old Horby — Lence Wadę podniósł go jak piórko do góry i ostrożnie postawił na ziemi — Bloody good show! —

Gromada pilotów obstała „Dziubka” zarzucając go pytaniami i biedak nie wiedział komu pierw odpowiedzieć. Wezwanie na dispersal poderwało nas na nogi i w kilka minut byliśmy już przy maszynach, gotowi do następnego lotu.

Miałem wolny dzień i zaraz po starcie naszej szóstki wybrałem się na plażę. Leżałem po kąpieli na gorącym piasku, ostrożnie się opalając, gdy szum powracających maszyn wyrwał mnie ze stanu błogiego lenistwa. Szybko się ubrałem i napół biegnąc zdążyłem do dispersalu w samą porę, by spotkać naszych pilotów, wysiadających z samolotów. Kazek rozpinał właśnie pasy spadochronu, a jeden rzut oka na jego rozpromienioną twarz potwierdził, że nadeszła jego kolejka.

— No, panie Antoś, podeszło, cholera! Sprułem nieboszczyka, panie Antoś, aż mu klaki poleciały. Spalił się niebożę prawidłowo, tylko ogon na piasku został. Widzisz Dziubek — zwrócił się do swej normalnej ofiary — tyś łachudro pewnie myślał, że ja Szkopa nigdy nie dopadnę. Chodź tu bliżej, pokażę ci jak go sprułem.

„Dziubek” był jednak nauczony doświadczeniem i trzymając się zdaleka zawołał:

— Pokaż to lepiej Karolowi, on też ciekawy. —

Szerokie bary Karola wzbudzały respekt nawet u wojowniczego Kazka, to też szybko zmienił temat rozmowy:

— No a jak tobie Bronka się udało? —

Czarniawa twarz Bronka Malinowskiego rozjaśniła się wesoło:

— Ano dostałem jednego, we wodę wpadł, panie — zaciągnął po lwowsku — chciałem panie jeszcze drugiego dopaść, ale się spłoszył i uciekł. —

Nasi koledzy brytyjscy patrzeli już na nas z wyraźnym szacunkiem. Pokazaliśmy im, że przysłany z Anglii polski zespół dobrze znał się na robocie w powietrzu. Przez pierwsze trzy tygodnie nasz Team zanotował na swym koncie 10 zestrzeleń, plus jeden prawdopodobnie zestrzelony i cztery uszkodzone, wszystko to bez strat własnych. Był to zaś dopiero początek. Po przełamaniu pozycji niemieckich pod Wadi Akarid Ósma Armja szybko parła naprzód i rejon naszych patroli przesunął się bardzo na zachód. Trzeba było myśleć o zmianie lotniska na bardziej zbliżone do linii frontu.

## IX

### ZMIENIAMY LOTNISKO

Dnia 11 kwietnia wszystkie dywizjony z naszej bazy przeleciały na nowe miejsce postoj, lotnisko Fouconnerie tuż przy linii frontu, a reszta obozu rozpoczęła przygotowania, by opuścić Bu Grara drogą kołową. Ponieważ maszyn było mniej niż pilotów, część z nas musiała zabrać się z rzutem ziemnym. Należałem do tej partji i dało mi to okazję przejechania 200 mil pustyni na ciężarowej lorze wylądowanej naszymi bagażami. Pod wieczór obóz został zwinięty i spakowany na samochody, a następnego dnia o świcie uformowaliśmy

wielki konwój i ruszyliśmy w drogę.

Razem z Wackiem Królem umieściliśmy się wygodnie w tyle ciężarówki, spoczywając na zwiniętych tłumokach z połowymi łózkami, i konwój powoli skierował się wzdłuż wyboistej i piaszczystej drogi, a raczej traktu, prowadzącego do głównej szosy na zachód. Kolumna wyciągnęła się w ogromnego węża i mimo że jechaliśmy wolno, wzbijaliśmy w powietrze tumany piaszczystego pyłu, który przenikał wszędzie, utrudniając oddychanie i pokrywając twarze szarą warstwą. Sytuacja niewiele się poprawiła na szosie, pełnej wyboi i zrujnowanej przez czołgi. Przejechaliśmy przez Medenine i skręciliśmy w stronę Mareth. Po godzinie drogi dotarliśmy do pół minowych przed fortyfikacjami. Go kilkadziesiąt metrów widniały w nawierzchni szosy głębokie leje po pociskach artyleryjskich i bombach lotniczych, po obu stronach drogi pojawiły się kupy wykopanych przez saperów min niemieckich. Co pewien czas widniały ostrzegawcze tabliczki z napisami „Danger — Mines”. Pomimo że Mareth została zdobyta dosyć dawno, zdołano wyczyścić z min jedynie teren wzdłuż głównej szosy. Okoliczne pola były w dalszym ciągu zaminowane i tak pewnie pozostały do końca wojny. Dojechaliśmy do łańcucha górskiego, poprzez który szosa wiała się serpentynami, pozostawiając po lewej stronie wysokie i niedostępne urwiska. Z prawej strony rozciągała się spokojna tafla morza. Pozycje niemieckie były tu doskonale rozmieszczone i zamaskowane, tak że dopiero uważny rzut oka wykrywał betonowe umocnienia, stanowiska artyleryjskie z porzuconymi rozbitymi działami i wijące się rowy przeciwczołgowe i okopy.

— No tak — mruknął w pewnym momencie Wacek — nic dziwnego, że nasi namęczyli się nad sforsowaniem tych pozycji. Niemcy dobrze się tu wkopali w teren. —

Minęliśmy fortyfikacje i szosa wiodła teraz wzdłuż pustynnych płaskowzgórz dochodzących do Gabes. Pył stał się niemożliwy. Kolumny ciężarówek ciągnęły w obie strony jednym nieprzerwanym sznurem. Ruch był, jak w Londynie przed wojną, tylko że zamiast wytwornych limuzyn, widać było zakurzone lory, wyładowane po brzegi żywnością, amunicją i wszelkiego rodzaju wojennym sprzętem. Oddziały na linii frontu musiały 'wszystko otrzymywać na czas, a wobec szybkiego postępu Ósmej Armji, linje zaopatrzenia wyciągnęły się do setek mil.

Przejechaliśmy pośpiesznie przez ładne, szerokie uliczki Gabes, witani wymachiwaniem rąk przez nielicznych Francuzów i apatycznymi spojrzeciami Arabów. Przez napół zniszczony most skręciliśmy znów w pustynię, z zalem rozstając się z palmowymi gajami Gabes. Szosa była teraz niewątpliwie lepsza, cofający się w pośpiechu Niemcy nie zdążyli jej dostatecznie uszkodzić, zadawalając się wysadzeniem w powietrze mostów. Wkrótce przeprawy przez wyschnięte strumyki, kiedy to objazdy po prowizorycznych traktach ciągnęły się milami, stały się naszym udęczeniem. Podróż zaczęła męczyć, kurz i prażące słońce doprowadzało nas do rozpacz. Po obu stronach szosy pojawiały się coraz częściej rozbite samochody niemieckie, spalone czołgi i ciężarówki. Na okolicznych polach widać było od czasu do czasu skraksowany samolot. Wszędzie ślady gwałtownej ucieczki i szybkiego pościgu.

Koło południa dowódca konwoju zdecydował się na postój. Kolumna zjechała z szosy, tworząc nieregularny czworobok i w dziesięć minut raczyliśmy się ciepłym posiłkiem, a nawet kubkiem herbaty. Ledwie wypaliliśmy nasze papierosy, gdy adjutant oznajmił, że ruszamy w dalszą drogę. Nasza marszruta nieco się zmieniła, bo wobec szybkiego przesuwania się frontu, mieliśmy się przenieść na lotnisko bardziej wysunięte do przodu niż Fouconnerie. Nasi piloci byli już zawiadomieni i prawdopodobnie następnego dnia mieliśmy się z nimi spotkać w pobliżu świeżo zdobytego miasteczka Sousse.

— Wacek, cholerny świat, kiwają nas — wykrzyknąłem zrozpaczony po otrzymaniu tych wiadomości.—Jak tak dalej pójdzie to nigdy naszych Spitfire'ow nie zobaczymy. Przecież armja tak idzie naprzód, że niemożliwe będzie ich dogonić. —

Wacek jednak był flegmatyczny, jak zwykle i nie przejmował się byle czym, to też leniwie odpowiedział:

— No to co? Żle ci tu? Jedziesz wygodną limuzyną i jeszcze się przejmujesz. Zresztą Niemcy nie mogą się ciągle cofać, bo by się potopili w morzu po drugiej stronie Tunisu. Włóż na łorę i śpij ! —

Z tym snem nie było tak łatwo. Kolumna ruszyła naprzód i rozpoczęliśmy się znów trząść na wybojach.

Pod wieczór krajobraz się zmienił. Przy drodze wyrosły karłowate palmy i gaje kaktusowe,

czasami zabieliła się farma francuska lub arabska zagroda. Zbliżaliśmy się do Sfax. Kolumna stanęła na noc w oliwkowym ogrodzie zrujnowanej farmy, rozbiliśmy prowizoryczny obóz i po kolacji wybraliśmy się do miasta. Przez bezludne przedmieścia dostaliśmy się szybko samochodem do europejskiego centrum. Sfax był przed wojną bardzo ładną miejscowością, ale obecnie wszystko było zrujnowane, zamknięte lub wywiezione przez Niemców. Ludność ewakuowała się w głąb kraju w obawie przed bombardowaniami, jedzenie dla pozostałych dostarczane było przez władze wojskowe, a o winie, dla którego głównie tam przyjechaliśmy, nie było co marzyć. Co kilkanaście metrów ruiny zbombardowanych budynków sterczały w górę kikutami stalowych szkieletów, w porcie dziesiątki zatopionych statków wypełniało basen, a na stacji kolejowej widniał szereg wykolejonych pociągów i spalonych wagonów. Lotnictwo Aljantów wykonało dokładną robotę, uniemożliwiając Niemcom ewakuację zarówno morzem, jak i koleją, ale jednocześnie kompletnie zrujnowało miasto.

Doszliśmy do wniosku, że stanowczo przytulniej było w naszym obozie i zabraliśmy się do powrotu. Po drodze napotkaliśmy francuskiego wyrostka, z którym rozpoczęliśmy rozmowę, w próżnej nadzieji, że uda się nam dostać trochę wina. Dowiedziawszy się, że byliśmy Polakami, chłopak wpadł w entuzjazm i z trudem przypominałem sobie mój zasób francuskiego, by odpowiedzieć na niezliczone pytania. Zgromadziła się dokoła nas grupka ludności i okrzyki „Vive la Pologne” co chwila przerywały naszą konwersację. Byliśmy niewątpliwie popularni, ale wina i tak nie dostaliśmy.

Wychudły Francuz o rozpromienionej twarzy starał się opowiedzieć nam historię uwolnienia miasta, kiedy to setki amerykańskich i angielskich bombowców atakowało bez przerwy port i stację kolejową, kiedy Niemcy wywozili dosłownie wszystko, co im do ręki wpadło, kiedy wreszcie do miasta wkroczyły pierwsze jednostki Ósmej Armji, witane z niesłychanym entuzjazmem. Rozmówca nasz był specjalnie zainteresowany lotnictwem i raz po raz powracał do tego tematu:

— Myśmy wiedzieli, że to potrzebne, by Niemców zwyciężyć, ale wiercie mi, bombardowania były okropne — mówił gorączkowo. — Raz nawet widziałem walkę w powietrzu i spadające w płomieniach maszyny. Wiedziałem że to niemieckie i czułem wtedy, że niedługo będziemy uwolnieni. — Francuz się zamyślił. — Kiedyś w marcu widziałem jednego z waszych myśliwców, jak po walce z Niemcem, który spadł na ziemię, przeleciał przez ulice miasta pomiędzy domami, strzelając do niemieckich samochodów. Mon Dieu, co on wtedy Niemców nastrzelał! Dziesiątki ich leżały na ziemi. — Przypominałem sobie raport Stacha z przed paru tygodni i uśmiechnąłem się z satysfakcją, mówiąc do Francuza:

— Na tym samolocie leciał Polak, mój dowódca. — Francuz aż podskoczył z wrażeń:

— Dziwny naród ci Polacy. Nie zrezygnowali z walki, nie załamali się. Wszędzie ich widać na polu walki, wszędzie biją Niemców, nawet tutaj, na piaskach Tunisu. —

Rozmowa przeciągała się zbyt długo, trzeba było zawrócić do obozu, bo czekała nas długa podróż następnego dnia. Zostawiliśmy naszego Francuza i po godzinie czasu chrapaliśmy smacznie na polowych łózkach, rozstawionych pomiędzy samochodami pod gołym niebem. Rano obudziłem się z dziwnie palącą twarzą. Szybki rzut oka w kieszonkowe lusterko pokazał, że byłem okropnie spuchnięty, a szereg punkcików na skórze zdradził powód mych cierpień. Byłem pokąsany przez komary. Moi towarzysze mieli podobne kłopoty, Wacek z trudem mógł otworzyć zapuchnięte powieki i rozpoczęliśmy gorączkowo szukać w bagażach maści przeciw moskitom. Adjutant dywizjonu, stary wyga pustynny, uspokoił nas jednak, mówiąc że okolica nie jest malaryczna i że opuchnięcie zniknie szybko. Rzeczywiście, w parę godzin twarze przybrały napowrót normalny wygląd.

Ruszyliśmy znów w drogę w kierunku na Sousse. Szosa była teraz prawie bez uszkodzeń i kolumna poruszała się szybko na gładkim asfalcie. Koło południa byliśmy już na nowym miejscu przeznaczenia, w obszernej dolinie w połowie drogi z El Djem do Sousse. Lotniska tam nie było i oddziały saperów otrzymały rozkaz przygotowania pola wzlotów na następny dzień. Do tej wiadomości odnieśliśmy się sceptycznie, specjalnie Marcin Machowiak był nieprzekonany:

— Pustynia, nie pustynia, a cudów niema — perorował, przyglądając się nierównemu polu, poroślemu anemiczną trawą. — Zrobienie lotniska zajmuje czas. Gdzież tam w pół dnia wybudować runway'e. —



Adjutant uśmiechnął się na widok naszych niedowierzających min:  
— You will see, boys. Na tym polu jutro będą lądować Spitfire'y - Sami się przekonacie.  
Przenocujemy tutaj, w tym ogrodzie, bo inżynierowie jeszcze nie przybyli i nie wiem, gdzie rozbić obóz. —

## X GOUBRINE

No i rzeczywiście, do południa następnego dnia lotnisko zostało ukończone! Przez parę godzin motorowe walce zrównały powierzchnię pola, tworząc dwa pasy startowe, popołudniu dolina zabieliła się rozbitymi namiotami, a pod wieczór posiadaliśmy gotowe namioty pilotów, mesę ze stołami, ławkami, telefonem i słynnym barem, a na dispersalu rozpierał się namiot ops. Przed samym zmrokiem wylądował dowódca Wing'u, przywożąc wiadomość, że dywizjony przylatują rano i od razu rozpoczną operować z nowego lotniska.

O świcie obudził nas ryk silników. W zwartej formacji Spitfire'ow, pikujących na nasze namioty, rozpoznaliśmy maszyny naszego zespołu. Przed dispersalem natknęliśmy się na całe bractwo, wysiadające z samolotów.

— Panie Antoś — wołał zdaleka Kazek. — Co za parszywe lotnisko w tej Fouconnerie! Nic, tylko kamienie i skorpiony. Tutaj trochę jest lepiej. —

— Co chcesz, zupełnie dobre lotnisko. Jak się to nazywa? —

— Goubrine — odpowiedziałem zadowolony, że znów byliśmy wszyscy razem i mogliśmy na nowo zacząć latać.

— Spotkaliście Szkopów w powietrzu? — spytał Wacek.

— Daj papierosa, to ci powiem — odparł „Dziubek” i wybrawszy starannie Players'a z mojej papierošnicy, dodał — Spotkaliśmy jednego. Kazek się za nim zapuścił, ale jak to on, dziur tylko w niebie narobił, a Szkop poleciał do domu. —

— Ty Dziubek uważaj, bo się zdenerwuję — obruszył się obrażony Kazek. — Wszyscy widzieli, że ten, panie Antoś, Szkop to chytra była sztuka, w chmury się schował, zanim zacząłem strzelać. —

— No a jak tam linja frontu? Pewnie w tych górach pod Tunisem Szkopy się będą bronić — zapytał Karol, znudzony bezustanną pogonią za nieuchwytnym nieprzyjacielem.

— Chodźcie do ops, zobaczymy mapę. —

Na dispersalu Richards męczył się właśnie nad naniesieniem na mapę świeżo otrzymanych wiadomości.

— Hullo boys — przywitał nas przyjaźnie — Niemcy zaczynają stawiać opór pod Enfidaville. Nasze wojska się zatrzymały i przegrupowują oddziały. Zdaje się, że pod tymi górami postoiemy przez dłuższy czas. —

Karol triumfalnie spojrział dokoła:

— Mówiłem wam, matoly. Ja sobie dawno przyuważyłem te góry z powietrza. Strome cholernie, przejść niema. Gorsze to niż sztuczne fortyfikacje. —

Minęły trzy dni. Czas zeszedł nam na ciągłych patrolach i eskortowaniu bombowców ponad łańcuchem górskim, ciągnącym się wokół Tunisu. Karol miał rację. Nawet z powietrza widać było wyraźnie strome urwiska i poszarpane stoki, nieprzystępne ściany wznosiły się wysoko do nieba, a najeżone sztucznymi przeszkodami, naszpikowane baterjami artylerji i gniazdami karabinów maszynowych, wydawały się wprost nie do zdobycia. Ósma Armja rozłożyła się w poprzek doliny u podnóża gór i od kilku dni odbywał się pojedynek artylerji. Grzmot dział słyhać było nawet na naszym lotnisku, odległym od frontu o dobre trzydzieści mil.

Trzeciego dnia ponieśliśmy pierwszą i ostatnią w czasie naszej wyprawy stratę. Dzień rozpoczęliśmy patrolem wzdłuż poszarpanych wybrzeży Cap Bon, na północny wschód od Tunisu. Startowało nas sześciu, ale nad lotniskiem zaczął mi przerywać silnik i zmuszony byłem do zawrócenia i opuszczenia towarzyszy. Po mym wylądowaniu mechanicy stwierdzili jakiś defekt iskrowników, zabrałem więc mój ekwipunek z maszyny i poczekałem na powrót reszty w namiocie w dispersalu.

Godzina minęła szybko na pogawędkach i studiowaniu map. Zdaleka rozległ się pomruk

silników, przeradzający się w głośny huk. Cztery Spitfire'y przypikowały wprost na nasz namiot, by w pięknym podciągającym skręcie rozejść się do lądowania.

— Oj cholera, spruli nam Wyszковского — zawołał zdaleka Kazek, zapominając w podnieceniu o swym „Panie Antos”.

Stach wyciągnął papierosa i dodał:

— Nawet nie mogliśmy mu przyjść z pomocą. Został gdzieś z tyłu, pewnie chciał zapolować w pojedynkę. Dopadło go dwóch Szkopów i wykończyło niemal na naszych oczach. Poszedł w dół z czarnym dymem, może udało mu się gdzieś wylądować lub wyskoczyć, jeżeli nie został zabity. —

— Dawno wiedziałem, że on zginie — wtrącił Maciek — Młody był, to go poniosło, a szkoda chłopaka. —

Nieoczekiwana strata zwarzyła nam humory. Chłopak niewątpliwie zginął niepotrzebnie.

Gdyby go chociaż zestrzelono w walce, w większym spotkaniu, kiedy to zawsze można niespodziewanie oberwać, ale tak poprostu zostać w tyle i nie wrócić z lotu ...

Dużo później dowiedzieliśmy się, że Wyszkowski jednak nie zginął. Wylądował przymusowo na uszkodzonej maszynie po stronie niemieckiej i dostał się do niewoli, gdzie przesiedział aż do końca wojny, by w maju 1945 roku powrócić cało i zdrowo do Anglii.

— Panowie, idziemy do mesy na obiad, mamy popołudniu służbę „stand by”, przerwał nasze rozważania Stach.

Słońce paliło niemożliwie i siedzenie nieruchomo w samolocie było prawdziwą męką.

Ponieważ nie latałem rano, Stach wstawił mnie do służby popołudniu, i choć początkowo wielce byłem tym ucieszony, po godzinnym prażeniu się w upale zdecydowałem, że znacznie przyjemniej byłoby wyciągnąć się na łóżku w namiocie, lub zażyć chłodnej kąpieli w składanej płóciennej wanience. Wszystko jednak ma swój koniec i po dwóch blisko

godzinach wyczekiwania telefon z dowództwa Wing'u zapowiedział dla nas nową operację:

— Polish Team będzie osłaniał dywizjon amerykańskich Kittyhawk'ow w rejonie Cap Bon — Tunis. —

Nabraliśmy szybko wysokości po starcie i skręciliśmy w stronę Sousse, gdzie mieliśmy wyznaczone spotkanie z bombowcami. Skrzydła Kittyhawk'ow zdaleka błyszczały w słońcu i prowadzący nas Wacek nie miał trudności w ich odnalezieniu. Przybraliśmy kierunek północny i omijając nad morzem pierwszy, przyfrontowy łańcuch gór, weszliśmy nad ląd ponad małym portowym miasteczkiem Nabeul.

Pogoda powoli się psuła, wysoko ponad nami pojawiły się cienkie warstewki cirrus'ow, poniżej w dole włożyły się po górach mgły i kłębiaste gęste chmury deszczowe.

Zwiększyliśmy czujność, w takiej pogodzie łatwo było o zaskoczenie przez nieprzyjaciela.

Patrowaliśmy już dobre pół godziny ponad poszukującymi celu Kittyhawk'ami, gdy wysoko w górze pojawiły się maleńkie sylwetki samolotów.

— Uwaga, powyżej z tyłu maszyny — zaanonsował Wacek, obdarzony niezwykle silnym wzrokiem i wielką spostrzegawczością.

Punkciki zniknęły w warstwie chmur i przez pewien czas lecieliśmy w spokoju.

— Z tyłu pojedynczy samolot, pikuje na nas — odezwał się znów Wacek.

Dostrzegłem dziwną sylwetkę, starającą się atakować naszą lewą dwójkę. Była to włoska Macchi 202, która widocznie nie zauważyła, że było nas sześciu, i odważnie pikowała na dwójkę Maćka. Bez komendy wszystkie Spitfire'y zakreśliły ostro w lewo. Włoch dostrzegł już, że popełnił pomyłkę, nie w porę wybierając się ze swoim atakiem i gwałtownie wyciągając, starał się ustąpić z pola walki. Trudno mu było jednak mierzyć się z naszymi szybkimi maszynami. Sześć wydłużonych nosów Spitfire'ow zadarło się do góry i polowanie się rozpoczęło.

Byłem na zewnętrznym łuku skrętu i zostałem w tyle. Przeklinając mego pecha przyglądałem się bezsilnie, jak Maciek i Janek Kowalski zaatakowali we dwójkę, jednak w zapale walki przeszkadzając jeden drugiemu i umożliwiając Włochowi uniknięcie ognia szybkim wywrotem. Wacek ściął mu drogę i otworzył ogień prawie pod prostym kątem. Przerażony Włoch postawił maszynę „na mordę” i starał się w szaleńczej pice uratować życie. Nadszedł mój moment. Będąc z tyłu, nie byłem skrępowany w ruchach innymi maszynami i szybko znalazłem się teraz na czele pogoni. Pierwszą serję oddałem w prawie prostopadłej pice, zaledwie na 300 jardów od Włocha. Z kadłuba Macchi posypały się jakieś paprochy, ale nie zmniejszył on szybkości, ani nie przerwał pikowania. Zacisnąłem zęby i dałem mu długą

serję, po której za jego ogonem pojawiła się smuga czarnego dymu.

— Teraz cię mam — mruknąłem przez zęby.

Po każdej następnej serji dym gęstniał, przesłaniając mi pole widzenia. Skoncentrowałem całą uwagę na ściganej maszynie i jeszcze raz przycisnąłem spust. Po dwóch sekundach ognia skończyła mi się amunicja. Włoch z potężnym pióropuszem czarnego dymu leciał prostopadłe w dół. W pewnym momencie spojrzałem poprzez kłęby dymu na ziemię i włosy zjeżyły mi się pod haubą. Tuż podemną rysowały się poszarpane ściany skalne. Gwałtownie ściągnąłem drążek wyciągając maszynę do góry. Spitfire zadygotał od nadmiernego wysiłku, z boku przesunęły się urwiska górskie i mój samolot wyprysnął w górę, w ostatniej chwili unikając zderzenia. Przez parę następnych sekund oślepiiony byłem naskutek gwałtownego odpływu krwi z głowy i prowadziłem maszynę na wycucie. Na pięciu tysiącach stóp odzyskałem wzrok i począłem się rozglądać pod siebie, by zobaczyć, gdzie się rozbiła moja ofiara. Na poszukiwaniach tych straciłem kilka minut, a Macchi nie mogłem dostrzec. Włoch musiał skraksować w jakiejś zakrytej dolince.

— Cholera — zakląłem, znalazłszy się napowrót w bazie. — Czy ktoś z was widział mego Włocha? spytałem kolegów.

Niestety nikt nie zauważył końca Macchi, choć wszyscy obserwowali pościg i widzieli czarny dym z silnika mej ofiary.

Zastanowiłem się przez chwilę. Była to moja pierwsza zestrzelona maszyna, a dawno już postanowiłem sobie, że pierwsze zwycięstwo muszę obejrzeć własnymi oczami od początku do końca. Tym razem zaś, choć niemożliwe było, by Włoch mógł wyjść cało z walki, nie miałem okazji zobaczyć jak się rozbił w górach. Szybko powziąłem decyzję:

— I claim one Macchi probably destroyed — złożyłem raport. — Niestety nie widziałem, by się rozbił, lub zapalił.

Stach, który w milczeniu przysłuchiwał się składaniu meldunków, odciągnął mnie na bok.

— Widzisz, masz nauczkę na przyszłość — pouczył mnie pocichu. — Poco było za nim pikować do końca i narażać się na rozbicie o skały. Trzeba było odejść na bok i obserwować, miałbyś teraz „zniszczony” zamiast „prawdopodobny”.

— Na drugi raz będę drania pilnował, aż zobaczę jego smutny koniec — przyrzekłem Stachowi i sobie uroczyście.

## XI

### TRZY WIELKIE DNI

Dzień 20 kwietnia wstawał nad pustynią zamglony i ponury i nic nie wróżyło, by pogoda miała się poprawić. Bez najmniejszego entuzjazmu opuszczaliśmy przed świtem przytulne namioty, by piaszczystą ścieżką powlec się ociężale w stronę rozrzuconych na skraju lotniska samolotów. Za piętnaście minut obejmowaliśmy codzienną służbę.

Przy maszynach kręcili się już ospale mechanicy, podgrzewane silniki wypełniały powietrze nieregularnym klekotaniem.

Na wschodzie horyzont powoli się rozjaśniał, poprzez przyziemne mgły i opary niebo nabierało przedziwnej, żółtawo różowej barwy. Było zimno i nasze tropikalne drelichy bynajmniej nie chroniły przed wciskającymi się igielkami chłodu. Szczękając zębami weszliśmy do namiotu dispersalu, gdzie zaspany Richards poczęstował nas wiadomościami:

— Polska eskadra startuje za pół godziny na osłonę bombowców w rejonie Tunis-Pantelleria. Będziecie jak zwykle na samej górze, pod wami leci dywizjon Kanadyjczyków. Wyprawa ma na celu atakowanie ewentualnej żeglugi nieprzyjaciela. —

Uśmiechnęliśmy się sceptycznie. Od wielu tygodni ani jeden statek wroga nie ośmielił się zbliżyć do wybrzeży Tunisu. Bezustanne patrole brytyjskich kontrtorpedowców i całkowita przewaga w powietrzu Aljantów odcięły niemal kompletnie dostawy dla Niemców. Niemniej zapowiedź lotu poprawiła nam humory.

— Może tym razem coś podejdzie — westchnął Maciek, który do tej pory nie miał szczęścia w Afryce. Żeby tak choć jednego zrąbać, zanim nasi Niemców wykończą.

— Niech tylko pogoda się poprawi, bo się pogubimy. — „Zosia” tęsknie spojrzał na niebo.

Poranne opary zeszyły powoli w dolinę, pomiędzy cienkimi chmurami błysnął błękit nieba. Za parę godzin zaczynał się normalny upał.

Wacek spojrzął na zegarek:

— Pójdziemy powoli do maszyn, za dziesięć minut start. —

Sześć Spitfire'ow zwolna wykołowało na otwartą przestrzeń piasku. Przerywane dudnienie silników przerodziło się raptownie w ogłuszający ryk. Pięknie wyciągnięta linja maszyn, wlokąc za sobą długi ogon pyłu, ruszyła powoli z miejsca. Koła były nerwowo o nierówną powierzchnię, szybkość wzrastała. Za chwilę formacja oderwała się od ziemi i w łagodnym skrucie poczęła nabierać wysokości.

Przed nami rozwinęła się ciemna wstęga morza, rozświetlona srebrzyście na wschodzie.

Przelecieliśmy ponad linją frontu i ciągle się wznosząc, skierowaliśmy się wzdłuż urwistych brzegów w stronę wysuniętego cypla Cap Bon. Pod nami błysnęły skrzydła Kanadyjczyków, jeszcze niżej Kittyhawk'i wyglądały na tle wody, jak śmieszne małe żuki.

W słuchawkach radjowych panowała cisza, przerywana czasem krótkim rozkazem. Artylerja niemiecka była jakoś dziwnie leniwa i zrzadka jedynie pojawiały się poza i między nami rozrywające się czarne obłoczki.

Dolecieliśmy do końca półwyspu i skręciliśmy za całą formacją w stronę wyspy Pantelleria.

Skrzekliwy głos kontrolera z ziemi ostro zgrzytnął w słuchawkach:

— Hullo, Blue Leader, Blue Leader. Commander calling. Twenty plus bandits ahead of you.

Znaczyło to, że przed nami znajdowało się w powietrzu ponad dwadzieścia samolotów nieprzyjaciela. Wacek spokojnie potwierdził odbiór depezy, eskadra wzmogła czujność, oczy nam zachodziły łzami od wypatrywania pod oślepiające słońce. Pantelleria zarysowała się wyraźnie na powierzchni morza, mogłem widzieć dokładnie jasne kontury jakiegoś miasteczka i białe rozbryzgi fal, szturmujących skaliste wybrzeże.

Nagle przebiegł przezemnie jakby prąd elektryczny. Daleko przed nami pojawił się szereg szybko powiększających się punkcików. Radjo znów się odezwało, tym razem po polsku, wyraźnym lwowskim akcentem:

— Uwaga, z przodu z prawej dużo samolotów, pewnie Szkopy.—

W sekundę punkciki przemieniły się w ciemne sylwetki Messerschmittów. Było ich koło dwudziestu. Widocznie nas dostrzegli, bo cała formacja poderwała się ostrym skrucem w górę. Rozparło mnie nagle uczucie radości.

— Teraz was mamy — mruknąłem do siebie. Niemcy nieświadomie dali nam przewagę ataku swym przedwcześnie wykonanym zakrucem.

Krótki rozkaz Wacka i rozpoczęliśmy atak. Powietrze napełniło się wściekłym rykiem goniących się i ścigających maszyn, zwijających się w szalonych ewolucjach. Było nas zaledwie sześciu, ale każdy z nas znał dobrze swoje rzemiosło i wynik spotkania był z góry przesądzony.

Oddałem krótką serję do przewijającej mi się przed maską silnika maszyny i wybrałem inną, bardziej dogodną ofiarę. Na 600 jardów z przodu dostrzegłem sylwetkę Messerschmitta, atakującego jednego z naszych Spitfire'ow.

— Ty będziesz moim — szepnąłem, podciągając maszynę. Na moment nerwy mi się odprężyły, odczułem raptowną ulgę.

W walce powietrznej jest dziwny, trudny do opisanego urok, zrozumiały jedynie dla pilota. W tych krótkich momentach zapomina się o wszystkim, nawet o ryzyku własnego życia, wyzwalają się instynkty tkwiące w każdym mężczyźnie. W świadomości istnieje jedno tylko nieprzeparowane pragnienie zestrzelenia przeciwnika. Odniesione zaś zwycięstwo daje nigdy niezapomniane uczucie absolutnej satysfakcji i triumfu.

Mój Niemiec wyrównał maszynę i zauważywszy mnie, zaniechał atakowania swego przeciwnika, starając się stracić mnie z ogona, uciekając w dół szaleńczym wywrotem. Przełożyłem miękko maszynę na plecy i ściągnąłem lekko drążek. Byłem znów za nim, już znacznie bliżej i odkładając poprawkę nacisnąłem na spust. Rozległo się znane klekotanie działek, przez kadłub Spitfire'a przebiegło lekkie drżenie. Przerwałem ogień by zaobserwować rezultat. Niemiec leciał dalej, jak gdyby nic się nie stało i rozpoczął nowy zawrót pod słońce.

Dałem mu drugą serję — znowu nic. Ogarnęła mnie nagła złość:

— Z czego tę cholere zbudowali, że się nie chce rozlecieć — przebiegło mi przez głowę.

Byliśmy obaj na plecach, gdy oddałem trzecią, długą serję i z niepokojem zauważyłem smugi „tracer'ow” tryskające z mych skrzydeł. Znaczyło to, że kończyła mi się amunicja. Jeszcze jedna serja i moje karabiny i działka ucichły, nie miałem już czym strzelać.

Za ogonem Niemca pojawiła się cienka czarna smuga i powoli gęstniejąc, zamieniała się w białawy szeroki pas dymu. Serce podeszło mi pod gardło. Dostał i to dobrze.

Lecieliśmy dalej, byłem za nim najwyżej na sto jardów i widziałem wyraźnie głowę pilota w jego kabinie. Bezsilność doprowadzała mnie do pasji. Nie miałem amunicji, a Messerschmitt, choć kopał coraz bardziej, ani rusz nie chciał się zapalić ani wpaść do morza. Dalsze czekanie stawało się ryzykowne, ponad głową widziałem jakieś samoloty, prawdopodobnie niemieckie. Z ciężkim sercem postanowiłem porzucić moją ofiarę i wracać do domu.

Przypomniałem sobie obietnicę daną Stachowi i zrobiło mi się jeszcze nieprzyjemniej.

— Złe — pomyślałem — znów mogę zgłosić tylko „prawdopodobny”. Żeby go jasny szlag trafił! —

Jakby słuchając mego przekleństwa, Niemiec niespodziewanie buchnął płomieniami z silnika, przewalił się na skrzydło i ciągnąc za sobą białą smugę, runął bezwładnie w dół szerokimi zwiłkami korkociągu. Wydałem jakiś nieartykułowany okrzyk i popikowałem za nim.

Wierzchołki fal wydawały się już niebezpiecznie blisko mej maszyny, gdy Messerschmitt gwałtownie uderzył o powierzchnię wody i zginął w rozbryzgach białej piany. Ogromna fontanna trysnęła wysokim wachlarzem, a po chwili jedynie rozchodzące się na wodzie kręgi znały miejsce, gdzie spoczęła moja ofiara.

Dodałem gazu i lecąc tuż nad morzem, skierowałem się na południe, w stronę niewidocznego z tej wysokości brzegu Afryki. W pół godziny później lądowałem w bazie.

Na ziemi czekało mnie niespodzianka. Rozpromienione miny pilotów świadczyły, że walka zakończyła się ogólnym sukcesem. „Zosia” zaliczył sobie jednego zestrzelonego i jednego prawdopodobnie zniszczonego, Maciek odniósł swoje upragnione zwycięstwo, zestrzelując jednego Niemca i uszkadzając drugiego, Wacek dostał Włocha, Macchi 202, Marcin Machowiak i Popek również upolowali każdy po jednym.

Nasz intelligence officer, poczciwy Richards, miał wiele do roboty tego popołudnia, przygotowując nasze raporty z lotu. Był on tak przejęty naszym sukcesem, że nie wytrzymał i złożył do Dowództwa krótki wstępny meldunek telefoniczny, z trudem opanowując drżący z podniecenia głos:

— Polish Fighting Team has done it again! They intercepted 20 Messerschmitt 109's and Macchi 202's and in two minutes combat they shot down six of them, probably destroyed one, and damaged another one. Our losses *nil*.

Na wieść o naszych sukcesach Kazek o mało nie dostał ataku sercowego i wyblagał u Stacha dodatkową służbę, mając nadzieję, że prawem serji w następnych lotach również dojdzie do spotkania z Niemcami. Siedział biedak przez całe popołudnie w maszynie, oblewając się potem i oczekując na start, ale więcej lotów już tego dnia nie było i pechowy Kazek męczył się nadarmo.

Następnego ranka znów wypadła na mnie służba. Pogoda była niezdecydowana, zanosilo się na deszcz, zjawisko dość niezwykle o tej porze roku. Na patrol nad Tunisem wybieraliśmy się z lekkim wahaniem, spodziewając się chmur i mgły nad górami.

Rzeczywiście, ciężkie kłęby pokryły wierzchołki i wypełniły doliny, zatoka tuniska tonęła we mgle, a liczne warstwy chmur sięgały wysoko ponad nas, mimo że lecieliśmy na 12,000 stóp. Na tle białego nieba stanowiliśmy doskonały cel i artylerja niemiecka mocno nam dokuczała, starając się nas dosięgnąć celnymi salwami. Widoczność była podła i prowadząc prawą dwójkę trzymałem się blisko Wacka, dowodzącego całością, by się nie zagubić.

Po blisko godzinie bezowocnego patrolowania Wacek zdecydował się zawrócić do bazy, gdy jakiś podniecony głos wykrzyknął przez radio:

— Pod nami bardzo nisko w dole maszyny. —

Wacek położył Spitfire'a na skrzydło i zaczął pikować. Na tle szarych zboczy górskich dostrzegłem pięć ciemnych punktów, szybko przesuających się w stronę warstwy chmur, pokrywających wąską dolinę koło jakiegoś miasteczka. Postawiłem maszynę na łeb, zjeżdżając za Wackiem. Niemcy byli tuż nad ziemią i starali się nam uciec pod chmury przez głęboką przełęcz pomiędzy urwiskami. Lecieli w dwóch dwójkach, pół mili jedna za drugą, pozostawiając piątego daleko w tyle.

Byliśmy już niedaleko za nimi i Wacek zabierał się do zaatakowania drugiej dwójki, gdy Niemcy zginęli mi z oczu w chmurach, sięgających tu niemal do samej ziemi. Lekkim skrzętem dostałem się pod chmury, wyminąłem skalistą ścianę, która nagle pojawiła się tuż przed moim nosem i wpadłem w dolinę. Na 500 jardów przed sobą dostrzegłem dwójkę Messerschmittów, niewiele się namyślając wziąłem na celownik lewego i oddałem krótką serję. Byliśmy tuż nad ziemią i widziałem jak moje pociski uderzają w skałę. Druga serja była celniejsza, ze skrzydła Niemca posypały się odłamki blachy. Złożyłem się do trzeciej serji, gdy tuż koło mego silnika pojawiły się czerwone ogniki smugowych pocisków.

— Chamy strzelają do mnie — przemknęło mi błyskawicą przez myśl.

Nie było chwili do stracenia. Gwałtownie poderwałem maszynę, wykręcając do tyłu. Otarłem się niemal o poszarpane urwisko, zamykające dolinę i wszedłem w chmury. W ostatnim momencie dostrzegłem kątem oka goniącego mnie Messerschmitta i Spitfire'a na jego ogonie. Przez parę sekund leciałem na ślepo, drżąc w obawie o zderzenie się ze skałami i za chwilę przez okno w chmurach dojrzałem koniec pościgu. Z silnika Niemca buchnął kłęb ognia i Messerschmitt, zawadziwszy skrzydłem o jakieś drzewa, zwałił się na ziemię w płomieniach. Okno w chmurach się skończyło i znów otoczyła mnie gęsta szara masa. Podciągając jak tylko można maszynę, wydostałem się nad pułap.

— Pięknie go Wacek dostał — mruknąłem.

Naokoło mnie panował teraz spokój, zarówno własne, jak i nieprzyjacielskie samoloty gdzieś zniknęły, to też zawróciłem do bazy, starając się nawiązać z ziemią łączność radiową. Było to jednak bezcelowe, mój aparat nie działał. Wyciągnąłem mapę i starannie nawigując, w kilkanaście minut wylądowałem w Goubrine.

— No Bohdan, miałeś szczęście — skrzywił się do mnie Wacek — Widziałem jak cię Szkop gonił i krzyknąłem przez radio ... —

— Mój odbiornik nie działał — wtrąciłem.

— Tak sobie pomyślałem. Nie mogłem do niego strzelać, żeby ciebie nie trafić, no i tak sobie lecieliśmy razem. Na przodzie dwa Messerschmitty, za nimi ty, za tobą Messerschmitt a na końcu ja. Dopiero jak wyrwałeś do góry, mogłem go wykończyć. —

— To był pewnie ten piąty. Widziałem jak się rozleciał — dodałem.

— Tak, ale whisky musisz postawić. —

Whisky oczywiście w naszym barze nie było, to też Wacek musiał poprzestać na szklance anemicznego włoskiego Chianti, które niewątpliwie zarobił, ściągając mi Niemca z ogona. Serja naszych sukcesów trwała pełne trzy dni. Następnego ranka eskadra nasza, pod dowództwem Karola, patrolowała w zatoce Tunisu, gdy Karol pierwszy dojrzał wielką formację transportowych Messerschmittów 323, osłanianych przez kilkanaście Messerschmittów 109 i Macchi 202; nasze niższe dywizjony zaatakowały niemieckie transportowce, polska szóstka związała się w walce z myśliwcami.

Po wylądowaniu eskadry dowiedzieliśmy się o nowych zwycięstwach. Kazek był tak uradowany, że niemal do krwi obgryzał palce, wykrzykując z triumfem:

— Panie Antoś, tego jeszcze nie było! Dwa, panie Antoś, dwa dostałem. Podstawili się, panie Antoś, pod same lufy. Jeden od razu wyskoczył ze spadochronem, jak mu przygrzałem, a drugi trochę później. Jakby się jeszcze trzeci podwinął, to bym go także spruł, bo amunicji miałem do cholery i trochę. Ale heca, panie Antoś! Widzisz Dziubek, twój starszy kolega pokazał ci, co potrafi. Jak chcesz, to udzieli ci lekcji, jak należy dwóch Niemców za jednym zamachem ukatrupić!—

— Nie trzeba, Kazek — odpowiedział spokojnie „Dziubek” — Widzisz, ja również dwa zestrzeliłem i również obaj wyskoczyli ze spadochronami, więc jak chcesz, to ja ci lekcji udzielię. —

Zamiast rozpocząć zwykłą zwadę Kazek rozjaśnił swą zbójecką gębę:

— No to Szkopy dostały lanie. Cholera, cztery spruliśmy, jak nic, panie Antoś! —

— Nie cztery, a sześć — wtrącił cichy i spokojny Kazik Sztramko, stojący dotychczas z boku i z rozbawieniem przysłuchujący się rozmowie. — Ja też potrafię strzelać, jak potrzeba, choć dużo o tym nie gadam. Mój pierwszy to był Włoch, Macchi 202. Zapalił się po pierwszej serji. Potem spotkałem się łeb w łeb z Messerschmittem i zaczęliśmy strzelać równocześnie, a taka mnie złość wzięła, że pomyślałem: albo ty, albo ja! No i Szkop wyciągnął w górę i zapalił się prawie nad moją głową. Pilot wyskoczył w ostatnim momencie. —

Marcin dodał swoje spostrzeżenia:

— Widziałem całą walkę, ale byłem zbyt daleko, by w niej wziąć udział. Piękny był widok, jak pięć spadochronów dyndało się naraz w powietrzu. Namyślałem się nawet, czy do któregoś z nich nie przygrzać, ale przecież tylko Niemcy strzelają do bezbronnych, więc dałem spokój. —

## XII STAJEMY SIĘ SŁAWNI

Trzy ostatnie dni przyniosły nam kompletny sukces. Zestrzeliliśmy trzynaście pewnych, jeden prawdopodobny i dwa uszkodzone, podnosząc nasz wynik od przyjazdu do Afryki do dwudziestu trzech zestrzelonych, trzech prawdopodobnych i siedmiu uszkodzonych. Z Dowództwa Western Desert Air Force nadeszły dla nas gratulacje, poczuli się do nas zjeżdżać korespondenci wojenni, a w gazetach egipskich i Trypolitańskich zaczęły pojawiać się długie artykuły o „Polish Tigers”. Najbardziej jednak dumni z nas byli nasi mechanicy, którzy nie chcieli nawet gadać z obsługą innych dywizjonów, które, według nich, nie były wiele warte w porównaniu z naszą eskadrą.

Nasze bractwo jednak nic sobie nie robiło z całego szumu. Uważaliśmy wszyscy, że spełniamy po prostu nasz obowiązek, a że się nam lepiej udawało niż innym, to byłoprostu nasz „good luck”, no i trochę doświadczenia. Kazek z „Dziubkiem” w dalszym ciągu prowadzili swe dziecinne spory, Karol po dawnemu narzekał na brak whisky, a Stach, który może najwięcej miał powodów do dumy, nie zmienił się ani na jotę, będąc stale skromnie uprzejmy dla wszystkich i przy każdej okazji umniejszając swe zasługi.

Monotonję życia pustynnego urozmaicił nam dowódca lotnictwa polskiego na Bliskim Wschodzie pułkownik Iżycki, który w pół roku później został generałem i Dowódcą Lotnictwa w Anglii. Dnia 24 kwietnia zjawił się on niespodziewanie na naszym lotnisku, by pozostać z nami przez kilka dni.

— Czołem chłopcy — zaczął na przywitanie. Strasznie mi przykro, ale ta duża butelka polskiej wódki, co ją wam obiecałem z Kairu, stłukła się po drodze — tu uśmiechnął się ze współczuciem na widok posmutniałej miny Karola. — Wiozłem ją, jak najdroższe dziecko, nosiłem na rękach i nic nie pomogło. No, ale mniejsza z tym. Powiedzcie, jak się wam tutaj powodzi. Słyszałem już w Kairze o waszych sukcesach i serdecznie gratuluję. —

Byliśmy wszyscy spragnieni wiadomości ze świata, to też zarzuciliśmy pułkownika szeregiem pytań, gęsto przeplatając rozmowę opowiadaniem o naszych przeżyciach i walkach. Pułkownik ze swej strony rozpytywał się nas o życie w dalekiej Anglii, gdzie nie był już od paru lat, spędzając czas w Kairze lub na pustyni. Czas zeszedł nam szybko, szczególnie gdy do rozmowy przyłączył się Lence Wadę, który znając pułkownika oddawna, chciał mu się pochwalić swymi polskimi pilotami.

Pułkownik Iżycki został z nami przez cały tydzień i nawet wykonał kilka lotów bojowych nad Tunisem, chcąc się zbliżyć przypatrzeć naszej pracy.

Na ziemi linja frontu ustaliła się i walki przybrały charakter pozycyjny. Dalsza ofenzywa wydawała się niemożliwą bez współpracy z Pierwszą Armją i wojskami amerykańskimi, które naciskały Niemców z drugiej strony. Oczekiwaliśmy lada dzień rozpoczęcia koncentrycznego ataku i ostatecznego zlikwidowania nieprzyjaciela.

Dzień po przyjeździe pułkownika Iżyckiego spędzaliśmy leniwie. Eskadra była w 30 minutowej gotowości i nie było potrzeby chodzenia na lotnisko, to też kręciliśmy się wszyscy koło namiotów, piorąc bieliznę, porządkując rzeczy lub opalając się na słońcu. Na loty jakoś się nie zapowiadało i popołudniu, gdy słońce stało się zbyt palące, schroniliśmy się do namiotu mesy, gdzie było nieco chłodniej. Bractwo nasze nigdy nie mogło długo wytrzymać w beczynności. Ktoś zaproponował karty i w pięć minut utworzyły się trzy partje, z powagą oddające się tajnikom skomplikowanej licytacji bridge'owej. Jak już poprzednio wspomniałem, polscy myśliwcy celowali w tej grze, a w naszym zespole nietrudno było o dobór partnerów.

— Pięć bezatu — z powagą oznajmił Wacek, spoglądając z podełba na swego kontrpartniera

Popka.

— Kontra!!! — wykrzyknął uradowany Popek, posiadający w ręce trzy asy i nie mogący spokojnie usiedzieć z emocji.

— Rekontra — szepnęła zjadliwie Kazek, partner Wacka. — Ja cię nauczę, panie Antoś, kontrować starszych kolegów. —

W rogu namiotu zaterkotał telefon.

— It's for you, sir — zwrócił się do Wacka dyżurny barman. Wacek odłożył karty i przez parę chwil przysłuchiwał się udzielanym mu przez telefon instrukcjom. Po chwili wrócił do stołu i powiedział spokojnie:

— Za dziesięć minut startujemy na patrol. —

— Zabieram karty ze sobą, bo byście jeszcze coś poszachrowali — poderwał się z miejsca Popek, pośpiesznie chowając do kieszeni swoje trzy asy.

— Tylko żeby który z was nie dał się spruć, boby moja rekontra przepadła, panie Antoś — rzucił Kazek w stronę znikających w drzwiach namiotu kolegów.

Zapanowała znów cisza, dwie pozostałe partje nawet nie zwróciły uwagi na incydent.

— Wiesz Bohdan, boję się o Popka — powiedział do mnie Kazek. — Jakby on nie wrócił z lotu, to by całą naszą partję djabli wzięli. —

Po godzinie czasu przed namiotem zatrzymała się służbowa lora i szóstka pilotów weszła z ożywieniem do środka.

— No siadajcie, trzeba skończyć moje pięć bez atu — zakomenderował Wacek.

Popek ze spokojem wyciągnął z kieszeni karty i gra potoczyła się dalej, jakgdyby nic się w międzyczasie nie zdarzyło.

— Wacek nieboże, leżysz bez trzech — zdecydował Kazek. — Przegraliśmy robra i więcej już mnie nie namówicie na tę grę. —

Popek miał swój szczęśliwy dzień. Niedosć że mu się „kontra” udała, niedosć że wygrał robra, inkasując kilkanaście franków, ale jeszcze w dodatku na odbytym patrolu zestrzelił szybko i gładko włoską Macchi, która mu się podwinęła w momencie, gdy zastanawiał się nad problemami bridge'a.

Niemcy musieli otrzymać uzupełnienia dla swych nadwątłych jednostek myśliwskich, bowiem od kilku dni nasi piloci meldowali pojawienie się w powietrzu Focke-Wolfów 190, maszyn dobrze nam znanych z Anglii, ale dotychczas nie operujących nad pustynią.

Następnego dnia po niefortunnej dla Wacka partji bridge's patrolowaliśmy nad nieprzyjacielskim lotniskiem Soliman, by sprowokować Niemców do poderwania się z ziemi. Był to pomysł Stacha, który uważał, że należy przeciwnika zmusić do walki tam, gdzie się on najmniej tego spodziewa. Rzeczywiście z lotniska poderwały się jakieś samoloty, a artylerja rozpoczęła do nas kanonadę, z której jednak niewiele żeśmy sobie robili. Obniżając powoli wysokość. Stach wyprowadził nas na ogony Niemców, którzy, zobaczywszy nasze maszyny nad sobą, zrezygnowali z walki i starali się nam uciec, kierując się w stronę gór. Manewr ten nie uszedł naszej uwadze: pikując prawie prostopadłe, pogoniliśmy za nimi. Były to Focke-Wolfy 190.

Wybrałem sobie jednego z nich, lecącego trochę z boku i rozpocząłem na niego polowanie. Niemiec leciał tuż nad ziemią, najwidoczniej spodziewając się zgubić mnie z ogona w labiryncie krętych, skalistych przesmyków. Odległość pomiędzy nami zmniejszyła się tak bardzo, że zdecydowałem się na rozpoczęcie ognia, gdy Focke-Wolf, przeskoczywszy zrećnie przez jakąś przełęcz, wpadł w szeroką dolinę, w której kłębiły się gęste zwały mgły. W sekundę Niemiec zniknął mi z oczu, a ja zmuszony zostałem do wyciągnięcia do góry, by nie zderzyć się ze skałami w nieznanym mi terenie. Nie dawałem jednak za wygraną, kręcąc się ponad chmurą mgły i rozumując, że mój przeciwnik wkońcu wyjdzie ponad pułap. Nie wiem, co się z nim stało, może znalazł wyjście z doliny pod warstwą mgły, a może roztrzaskał się w górach, w każdym razie nigdy już go nie zobaczyłem i nie mając czasu na dłuższe czekanie, ze względu na kończącą się benzynę, zawróciłem do bazy.

Reszta naszych nie była odemnie szczęśliwsza. Zdarzyła się im identyczna historia, Focke-Wolfy zniknęły w tej samej mgle i spotkanie zakończyło się bezkrwawo.

Dzień później, 30 kwietnia, w jednym z licznych patroli, natknęliśmy się znowu na Focke-Wolfy. Zataczaliśmy właśnie szerokie koło nad zatoką Tunisu, gdy tuż przed nami pojawiły się pękate mordy Focke-Wolfów. Było ich tylko dwóch i, jak zwykle, nie zdradzały zbyt



wielkiej ochoty do walki. Spotkałem jednego z nich łeb w łeb i wystrzeliłem do niego krótką serję. Niemiec ratował się gwałtownym wywrotem i piką do ziemi. Wykonałem identyczny manewr i składałem się do następnej serji, gdy tuż przedemną wyskoczył inny Spitfire i rozpoczął ogień do nieprzyjaciela. To Marcin, nie widząc mnie, postanowił złapać jeszcze jedną ofiarę. Musiałem odejść na bok i, z daleka za nimi pikując, obserwować pogoń. Po drugiej serji Marcina Focke-Wolf zadymił na czarno.

— No, jeszcze jeden — pomyślałem — szkoda, że to nie ja. —

Obie maszyny były już nisko nad ziemią, gdy Spitfire niespodziewanie wyrwał do góry, zaprzestając pogoni. Niemiec dalej leciał w dół, wlokąc za sobą gęstą smugę dymu.

— Cholera, olej zachlapał mi szybę, nic nie widzę - poskarżył się przez radjo Marcin.

— Wracaj do domu, otwórzabinę i uważnie ładuj, patrząc z boku. Reszta maszyn zbiórka nad brzegiem. —

Byłem zbyt daleko od Niemca, by go wykończyć i zawróciłem we wskazanym kierunku, by dołączyć do formacji.

Po powrocie na lotnisko zastaliśmy na ziemi Marcina, który wylądował pomyślnie, ale był mocno przygnębiony swym niepowodzeniem.

— Uciekł mi — powiedział płaczliwie, zaciągając się nerwowo papierosem. —Juz go miałem na celowniku, gdy pękł mi jakiś przewód olejowy i całąabinę mi zachlapało. —

— Daleko on nie zaleciał — pocieszyłem go. Dymiło się z niego, jak z fabryki, pewnie gdzieś lądował przymusowo w górach.—

Stach wychylił głowę z namiotu ops:

— Marcin, przenieś rzeczy na inną maszynę, zaraz lecimy w eskorcie Kittyhawk'ow. —

W pół godziny byliśmy napowrót nad skalistymi brzegami Cap Bon. Na spokojnej powierzchni morza pojawił się jakiś pojedynczy statek włoski, mający nadzieję przedostać się do portu w Tunisie. Był to wymarzony cel dla Kittyhawk'ow. Formacja ich wyciągnęła się w luźny eszelon, by jeden po drugim zjechać do ataku, obkładając statek bombami. Na pokładzie coś się zadymiło, buchnął w górę wielki kłęb dymu i statek począł powoli przechylać się na bok. Bomby widocznie trafiły w cel. Nie było tam dla nas wiele roboty. Zostaliśmy na górze, by nie przeszkadzać Kittyhawk'om w pracy i osłaniać ich w razie ewentualnego pojawienia się myśliwców niemieckich. Dopiero, gdy 'zabieraliśmy się do powrotu, jeden z naszych Spitfire'ow raptownie przewalił się na skrzydło i pikując wprost na statek, plunął ogniem ze wszystkich karabinów i działek.

Spoglądaliśmy na to widowisko z góry, nie wiedząc czy iść za jego przykładem, czy pozostać nad Kitty-hawk'ami, gdy głos Stacha przez radjo rozwiął nasze wątpliwości:

— Ten warjat na dole dołącz do formacji! — Pojedynczy Spitfire powtarzał właśnie atak po wykonaniu ciasnej rundy i pokrywał pokład statku gradem pocisków, az przerażeni marynarze poczęli skakać za burty. Na zawołanie Stacha przerwał on ogień i wyciągając piękną świecę przyłączył się do nas w kilku chwilach. Po wylądowaniu Stach zebrał nas do kupy.

— Kto z panów atakował statek? — zapytał spokojnie, ale widać było, że nie w smak mu poszedł samowolny wybryk.

„Dziubek” spojrział na niego z podoba i mruknął:

— Przecież mówiłeś kiedyś, że należy przestrzelać broń w każdym locie. Chciałem tylko sprawdzić, czy moje działka dobrze strzelają. —

Stach nie mógł powstrzymać uśmiechu i jedynie machnął ręką, zmieniając temat rozmowy:

— No, dosyć na dzisiaj. „Dziubek” obejmie readiness z pięcioma pilotami, a resztę zabieram do Sousse. —

— No jakto?! Ja też chcę piękne Francuski obejrzeć, zaprotestował „Dziubek”.

— Nie trzeba było działek próbować bez rozkazu. Polecisz teraz nad Tunis, zamiast do Sousse wygodnie samochodem pojechać — zakończył Stach.

W pół godziny później szóstka „Dziubka” przeleciała nad naszymi głowami, gdy pakowaliśmy się do służbowej lory.

— Daj wam Boże zdrowie — uśmiechnął się zjadliwie Kazek. — Założę się o mój tropikalny kask, że nic nie spotkają, a my tymczasem zwiedzimy wszystkie bary w Sousse i uwiedzimy najpiękniejsze kobiety. —

Do Sousse było ponad dwadzieścia mil i Stach rozwinął pełną szybkość, by jaknajprędzej

dostać się na miejsce. Nie było to zbyt łatwe. Szosa zawałona była niekończącymi się kolumnami samochodów i Stach lawirował pomiędzy nimi, nie zmniejszając prawie tempa.

— Ty Stach, oszalałeś — zaniepokoił się Kazek — mnie już się rzygać chce od tej jazdy.

Zabijesz nas, panie Antoś zanim te afrykańskie piękności zobaczymy. —

— Kto ci powiedział, że tam wogóle są kobiety — odparł spokojnie Stach, mijając o milimetry ogromną lorę, wyładowaną skrzyniami z amunicją.

— Wsiadam, panie Antoś. Poco mnie cholera skusiła na tę jazdę. —

Po pół godzinie emocji wjechaliśmy do miasta, gdzie nas czekało rozczerowanie. Miasto zniszczone było bardziej jeszcze niż Sfax, ulice opustoszałe, domy zrujnowane, a ludność wyewakuowana w głąb kraju. Nie było mowy o kobietach ani o francuskim winie, na które szykował się Karol. Wizyta nasza w Sousse zakończyła się więc szybko, przy czym obiecaliśmy sobie nigdy więcej nie zwiedzać miast, które były przedmiotem zainteresowania bombowców Aljanckich.

Wing nasz musiał zanadto ostatnio dokuczyć Niemcom, bo Luftwaffe wybitnie zainteresowała się naszym lotniskiem i zaledwie ułożyliśmy się w namiotach po pracowitym dniu, gdy nadleciało dwadzieścia Junkersów i gwałtownie wyciągnęło nas z łóżek. Na głos kanonady artylerji lotniskowej narzuciliśmy w pośpiechu mundury i wybiegliśmy przed namioty, by za chwilę paść na ziemię na odgłos spadających bomb.

— Gdzie tu się schować przed tymi łajdakami — wymamrotał Maciek, leżąc płasko na piasku.

— Najgorsze te odłamki artyleryjskie — dorzucił „Zosia”.

— Cholera, panie Antoś — zdenerwował się Kąsek — we dnie to ich nie możemy znaleźć, a w nocy, gdy nie latamy, to się cholery do nas pchają. Niema sprawiedliwości na tym świecie.

—

Pierwsza partja bombowców już przeleciała, zrzuciwszy swój ładunek na pole obok lotniska. Podczas parominutowej przerwy zapaliliśmy papierosy, starając się wyszukać jakieś możliwe schronienie. Gdzież tu jednak znaleźć schron na pustyni! Artylerja znów poczęła strzelać, na tle księżycowego nieba widzieliśmy wyraźnie samoloty, dokoła których rozrywały się pociski naszej artylerji. Następna porcja bomb spadła znacznie bliżej, gdzieś na przeciwnym końcu lotniska. Za chwilę znów zapanował spokój.

— Zimno mi, idę spać do namiotu, jak mnie mają trafić, to i tam mnie znajdą — rozzłościł się wreszcie Wacek, szcękając zębami.

Za jego przykładem rozeszliśmy się do namiotów. Było późno, około drugiej nad ranem i za trzy godziny mieliśmy wstawać do readinessu. Ledwie jednak ułożyliśmy się do snu na polowych łózkach, gdy nowa kanonada poderwała nas na nogi.

Przez cały dzień ziewaliśmy niemożliwie podczas służby, a jak na złość, mieliśmy dużo roboty, sześciokrotnie startując na eskortowanie bombowców. Złośliwy Kazek puścił nawet plotkę, że jakoby widział „Dziubka” śpiącego w samolocie podczas patrolu, ale oczywiście nikt mu nie uwierzył. Pod wieczór zostaliśmy wreszcie zwolnieni.

— Wyszukaj mi łopatę, Maciek — zadecydowałem — zaczynam kopać row przeciwlotniczy. Dosyć mam tych odłamków sypiących się na głowę. —

— Co cię strach obleciał — zakpił Wacek — zachciało mu się rowy w piachu kopać! —

Maćkowi jednak pomysł przypadł do gustu i do zmięzchu pracowaliśmy we dwójkę w pocie czoła, by wykopać pół metra w twardym gliniastym podłożu.

Ukończenie naszego rowu zajęło cały następny dzień. Latania było niewiele, to też pracowicie grzebaliśmy się w twardej ziemi, przeklinając Niemców, słońce i nasze pokryte pęcherzami dłonie. Pod wieczór wreszcie wyrzuciliśmy z rowu ostatnie grudy ziemi i z triumfem spojrzeliśmy na nadchodzącego Wacka.

— Możemy teraz spokojnie spać w nocy — sapnął Maciek. — A ty Wacek będziesz nam szylinga płacił za każdorazowe użycie naszego schronu. —

Wacek roześmiał się zjadliwie:

— Niedużo zbierzecie pieniędzy. Właśnie nadeszła wiadomość, że jutro przenosimy się na nowe lotnisko i całą waszą robotę djabli wezmą. Chyba, że zabierzecie ten rów ze sobą — dodał po zastanowieniu.

### XIII OSTATNIE WALKI

Dnia 6 maja od świtu panował niezwykle ruch na naszym lotnisku. Szereg ciężarówek kręcił się pomiędzy namiotami obozu, wzbijając tumany kurzu, żołnierze pośpiesznie zwijali płachty namiotowe i ładowali na samochody skrzynie z żywnością i amunicją, kilku z nich zgromadziło na kupę walizki i worki pilotów. W myśl zapowiedzi zmienialiśmy miejsce postoju.

W międzyczasie normalna służba trwała i sześć naszych maszyn odrabiało kolejkę „stand by” na skraju lotniska. Reszta pilotów miała się zabrać transportem kołowym.

Około dziewiątej rano z przed namiotu Dowództwa Wingu wystrzeliła w niebo podwójna czerwona rakietka. Był to normalny znak, że naszą eskadrę poderwano na alarm w powietrze. Samoloty, zakopciwszy dymem zapuszczanych silników, w rekordowym czasie ustawiły się na start, by za chwilę unieść się lekko w górę, pozostawiając na lotnisku tumany kurzu.

— Udało im się znowu — mruknął Marcin, który po raz drugi odbywał drogę samochodem. — Ja to mam pecha, znowu się będę tłukł po wybojach, a oni za piętnaście minut wylądują w Hergla. —

— Tylko nie za piętnaście minut — poprawił go Maciek — przecież poderwano ich na alarm. Popsują trochę benzyny nad Tuniszem i pewnie wrócą z niczym. Całe nieszczęście, że przegonią nas o jeden lot. —

Naszym punktem honoru było ostatnio staranie się o jaknajwiększą ilość lotów i mimo, że prowadzona była dokładna ewidencja i Stach rozdzielał służbę zawsze równomiernie, używaliśmy najrozmaitszych podstępów, by tylko wyprzedzić innych.

Przejazd na nowe lotnisko nie zajął nam tym razem zbyt wiele czasu. Po dwóch godzinach jazdy samochodami zбочyliśmy z głównej szosy na wyboistą drogę i po pół godzinie wjechaliśmy na rozległą przestrzeń słonej plaży. Przed nami pomalowane na biało beczki od benzyny oznaczały brzegi dróg startowych. Przejechaliśmy koło świeżo rozbitych namiotów dispersalu i mesy pilotów i zatrzymaliśmy się na obszernym polu pośród namiotów mieszkalnych.

Rozpakowawszy pośpiesznie bagaże udaliśmy się do dispersalu, gdzie nasza szóstka ciągle pełniła służbę po świeżo odbytym locie. Czekala nas tam miła niespodzianka. Stach, niedbale paląc papierosa, oznajmił z obojętną miną:

— Mamy jeszcze jednego Messerschmitta zestrzelonego i jednego uszkodzonego. —

Nie chcieliśmy początkowo uwierzyć, biorąc to za niewczesny żart, od kilku bowiem dni Niemcy prawie się nie pokazywali. „Dziubek” jednak potwierdził wiadomość, a Kazik Sztramko dorzucił:

— Wpadł w korkociąg i rozbił się o ziemię. Drugi uciekł w chmury z pióropuszem dymu. — Wzięliśmy ich w krzyżowy ogień pytań i powoli wyłowiliśmy z nich prawdę. Nad Cap Bon napotkali sześć Messerschmittów 109. Kazik Sztramko dopadł jednego i wykończył go drugą serją. Stach uszkodził innego, ale Niemiec zdążył mu uciec w chmury. —

Zwycięstwa te podniosły nasz „score” do 25 zestrzelonych, 3 prawdopodobnie zestrzelonych i 9 uszkodzonych. Nie wiedzieliśmy wtedy, że były to nasze ostatnie walki w Afryce i że w kilka dni później rozpoczniemy przygotowania do wyjazdu.

Kazek był wybitnie rozczarowany, że nie brał udziału w tym locie:

— Nie wiedziałem, panie Antoś, że Szkopy jeszcze latają. Zobaczycie, że oni nas pogonią z tego lotniska. —

Z namiotu ops wyszedł zaniepokojony Maciek:

— Panowie, jesteście zaledwie o dwanaście mil od frontu i spodziewane jest ostrzeliwanie nas przez ciężką artylerię niemiecką. —

Karol spojrział na mnie pytająco i zauważył, niby odniechceni:

— Wiesz, Bohdan, chyba zacznijemy kopać nowy rów. To bardzo przyjemna robota. — Spojrzałem na moje dłonie, pokryte pęcherzami i pokiwałem przecząco głową. Karol jednak nie dawał za wygraną i zaciągnawszy mnie do namiotu ops, stuknął palcem o mapę, że

świeżo naniesioną sytuacją wojskową:

— Patrzaj tutaj. — mruknął przekonywująco. — Tu są Szkopy, a tu my. Jesteśmy w zasięgu ich artylerji i jeszcze nas mogą niechcący trafić i byłaby przykrość. —

Dałem się wreszcie przekonać i pod wieczór, po kilku godzinach wysiłków, mieliśmy przed namiotem piękny schron, który, nawiasem mówiąc, nigdy się nam nie przydał.

Nasze namioty zebrane były tym razem na niewielkiej przestrzeni i do mesy mieliśmy zaledwie kilkanaście kroków. Mieszkałem ze Stachem i Karolem, jedynie we trzech i było dużo miejsca na rozłożenie gratów. Zdobyliśmy się nawet na luksus składanego stolika, skonstruowanego z polowego krzesła i położonej na nim walizki. Na walizce Stach pieczołowicie postawił kawał stłuczonego lustra. Było nam doprawdy wygodnie.

Po kolacji Stach zebrał nas wszystkich przed namiotem.

— Proszę panów — zaczął — byłem właśnie na odprawie w Dowództwie Western Desert Air Force. Pierwszorzędne wiadomości — tu przerwał i trzymając nas w napięciu, wyciągnął powoli papierosa. — Nikt nie pali, prawda? —

— No mówże wreszcie, o co chodzi — zdenerwował się Kazek.

— Sytuacja przedstawia się następująco: jutro rozpoczyna się końcowy atak, celem zlikwidowania armji niemieckiej. Główne uderzenie wyjdzie ze strony Amerykanów i Pierwszej Armji, do której przydzielono większość naszych sił pancernych. Wsparcie lotnicze będzie na wielką skalę. Co dziesięć minut osiemnaście bombowców startować będzie z naszej strony, a co dziesięć minut osiemnaście ze strony Pierwszej Armji. Wobec ciężkiego terenu naprzeciw Ósmej Armji, nasze oddziały będą jedynie wiązać nieprzyjaciela, podczas gdy Amerykanie i Anglicy uderzą z drugiej strony na Bizertę i Tunis. Te, „Dziubek”, zostaw moje papierosy — przerwał, by w ostatnim momencie odebrać wyciągniętą mu zrecznie z kieszeni papierośnicę. — Prawdopodobnie nie będziemy mieli wiele roboty, bo praktycznie lotnictwo niemieckie nie istnieje. Możemy jeszcze spotkać ich myśliwców operujących z Pantelleria lub Sycylii, ale szansę są małe. Jeszcze jedno: Dowódca Western Desert Air Force, Air Commodore Broadhurst, wyrażał się z największym uznaniem dla naszej pracy i wyników. Jesteśmy uznani za najlepszy zespół myśliwski na pustyni i w kwietniu mieliśmy wyniki lepsze od któregośkolwiek z dywizjonów. Jest projekt, by część z nas została tutaj, oczywiście ochotniczo, i rozeszła się po innych dywizjonach, zajmując stanowiska dowódcze. Czy ktoś reflektuje na te propozycje? —

— No dobrze, ale co będziemy robić, gdy się Szkopów zlikwiduje w Afryce? — zapytał „Zosia”.

— Spodziewana jest w niedalekiej przyszłości duża operacja, prawdopodobnie inwazja Sycylii i Włoch, ale nie wiem kiedy się to zacznie. Kto chce, może zaryzykować. —

— Panie Antoś, za nic. Wracam pierwszym samolotem do Anglji. Jeszcze zdrowia na loterji nie wygrałem, a ochotnikiem dawno już przestałem być — wykrzyknął Kazek.

Jedynie trzech z nas zgłosiło się na pozostanie w Afryce, Stach, Maciek i „Dziubek”. Z trójki tej jedynie Stach pozostał przy życiu. W kilka miesięcy po naszym wyjeździe do Anglji, gdy rozpoczęła się inwazja Włoch, Maciek, jako dowódca angielskiej eskadry zabił się przy starciu ze skalistego lotniska na Sycylii. „Dziubek” przeżył go o rok, biorąc udział w kampanji włoskiej jako dowódca dywizjonu i zestrzeliwując jeszcze trzy samoloty niemieckie. Pod koniec roku 1943 „Dziubek” powrócił do Anglji, objął jeden z polskich dywizjonów i rozslawił się dalszymi zwycięstwami, stając się jednym z czołowych polskich pilotów. Karjera jego zakończyła się w sierpniu 1944, gdy prowadząc nad Francją swój dywizjon, napotkał formację 60 Focke-Wolfów z którą stoczył swą ostatnią walkę. Dywizjon jego odniósł jedno z najpiękniejszych zwycięstw tej wojny, zestrzeliwując 16 Niemców. Nieszczęśliwym trafem „Dziubek” nie powrócił z tego lotu i ostatnio go widziano, gdy po zestrzeleniu trzech Focke-Wolfów został opadnięty przez kilku Niemców i poszedł w dół w płomieniach, walcząc do końca.

Następnego rana po odprawie Stacha, sensacyjne wiadomości napływały od świtu. Po kilkugodzinnej bitwie Amerykanie przełamali opór nieprzyjaciela i parli w kierunku Tunisu i Bizerty. O godzinie ósmej rano telefon z Dowództwa Wingu zaraportował, że przednie oddziały Aljantów były na przedmieściach Tunisu.

Ponad naszymi głowami raz po raz przelatywały zwarte formacje bombowców. To zapowiadana ofensywa lotnicza. Wszystkie kierowały się nad pozycje niemieckie w górach, gdzie rzucały swój ładunek. Do naszego lotniska dochodził huk wybuchających bomb, pomieszany z kanonadą artyleryjską. Kłęby dymu i kurzu podniosły się powoli do góry. Siedzieliśmy w readiness'ie, czekając na start i oglądaliśmy wszystko, jak w teatrze.

— Patrzcie panowie — zauważył „Dziubek” — bombowce latają bez eskorty myśliwskiej. —  
— Poco im osłona, panie Antoś — odparł Kazek. Szkopy puszczają ostatni dech, jak ta zdychająca kobyła a Luftwaffe nie ma na czym latać. —

Opozycja niemiecka w powietrzu nie istniała i nasze Dowództwo zdecydowało, że szkoda benzyny na podrywanie myśliwców. Dzień też spędziliśmy leniwie, przyglądając się bombardowaniom i czekając na wiadomości z frontu. Pod wieczór nadeszły nowe meldunki. Bizerta została zajęta przez Amerykanów, Tunis dostał się w nasze ręce. Niemcy wycofywali się bezładnie w kierunku Cap Bon, skąd zapewne spodziewali się wyewakuować morzem do Włoch.

— Nie zazdrozczę im tej ewakuacji, panie Antoś — mruknął Kazek. Przejście Żydów przez Morze Czerwone to szczeniak, wobec tej przeprawy. Potopią się, panie Antoś, jak nic. — Likwidacja Afrika Korp trwała przez całe cztery dni. Dnia 8 maja poddała się pod Tunisem niemiecka dywizja pancerna. Wszelkie próby stawiania oporu zostały systematycznie unicestwione i nasze oddziały oczyszczały zdobyty teren. Jednostki zmotoryzowane Aljantów znalazły się niedaleko cypla Cap Bon i oczekiwana przez Niemców ewakuacja okazała się jedynie ich pobożnym życzeniem. Całe kompanie i bataljony poddawały się do niewoli bez walki.

Nasze operacje tego dnia ograniczyły się do lotów nad Pantelleria, która stała się przedmiotem gwałtownych bombardowań. Natomiast następnego rana, udało się nam jeszcze raz przelecieć wzdłuż wybrzeży do Cap Bon. Kitty kawki miały atakować jakieś transporty niemieckie i potrzebowano dla nich osłony.

— Wycieczki krajoznawczej im się zachciało — burknął Kazek przed lotem. Te, Stach, może tak postrzelamy po tych Szko'pach dla kawału, prędzej się poddadzą. —

Stach uśmiechnął się ironicznie:

— Co, znowu chcecie działka próbować? Zresztą dobrze, niewiele mamy już tu do roboty, to się możemy raz zabawić. Tylko zęby mi żaden o ziemię nie zawadził. —

Szczupła twarz „Dziubka” rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

— Dobrze, że jestem w służbie — zauważył.

W pół godziny po starcie znaleźliśmy się nad długą kolumną niemieckich ciężarówek, pośpiesznie wycofujących się w stronę wybrzeża. Kittyhawki zrzuciły swoje bomby, zapalając i niszcząc kilka samochodów i po zatoczeniu szerokiego łuku zawróciły do domu. Nadeszła nasza kolejka. Wyciągnęliśmy się w luźny eszelon i za przykładem Stacha zjechaliśmy z góry na niemiecką kolumnę. Ziejące ogniem Spitfire'y wytworzyły na ziemi prawdziwe piekło. Słupy dymu i płomieni buchnęły w górę, uciekający żołnierze zapelnili przydrożne rowy, samochody, zderzając się i przewracając, starały się uciec, skręcając na boki. W kilkanaście sekund kolumna przestała istnieć.

— No, wyprobo'walismy nasze działka, możemy wracać

— odezwał się przez radio Stach.

Po wylądowaniu dowiedzieliśmy się, że czekał nas tego dnia jeszcze jeden lot — eskorta bombowców nad Pantelleria. Nie wiedzieliśmy natomiast, że miał to być nasz ostatni lot bojowy w Afryce. Stach zawezwany został na konferencję do Dowództwa i gdy powróciliśmy z zadania, czekał na nas z wiadomością.

— Panowie, zakończyliśmy naszą służbę — zakomunikował nam ze zmiennym uczuciem radości i rozczarowania malującym mu się na twarzy. — Nie będzie więcej ani readinessów ani „stand by”. Zostajemy wszyscy przeniesieni w stan godzinnego pogotowia i niema nadziei, byśmy jeszcze choć raz poleciali. Poddanie się Niemców spodziewane jest lada chwila. No, Kazek, zaczynaj pokować graty. Pewnie już niedługo uściśniesz ukochaną w

Londynie. —

— Oj, panie Antoś, najwyższy czas, bo resztki zdrowia tu stracę — odpowiedział Kazek. Żeby nas tylko stąd prędko zabrali, bo Karol gotów wszystkie zęby, sztuczne i prawdziwe, na sucharach wylać. —

Dzień 12 maja spędzaliśmy leniwie, przypatrując się bombardowaniom i ostrzeliwaniom pozycji niemieckich. Około drugiej popołudniu wszystko ucichło.

— Pewnie wszystkich Szkopów wytlukli — zauważył „Zosia”, który od samego rana śledził przebieg strzelaniny.

— Czuję, że to koniec. —

Zbieraliśmy się na kolację w namiocie mesy, gdy z dispersalu nadbiegł zadyszany Maciek.

— Panowie, wojna w Afryce zakończona! O godzinie 16.30 ostatnie oddziały niemieckie poddały się do niewoli! — wykrzyknął bez tchu.

Po blisko czterech latach walk, po kilkakrotnych błyskawicznych ofensywach angielskich i kontrofensywach niemiecko-włoskich, cały kontynent afrykański uwolniony został od wroga. Kolosalne wysiłki Sprzymierzonych, uporczywe i krwawe zmagania w najcięższych warunkach pustynnych uwięzione zostały całkowitym zwycięstwem. Cała niemal armia niemiecka, wraz z dowódcą generałem von Arnim wzięta została do niewoli, groźba opanowania przez Niemców Bliskiego Wschodu z jego polami naftowymi zlikwidowana, szlaki morskie na wschód otwarte. Zakończona została pierwsza w dziejach tej wojny zwycięska kampanja. Nie wiedzieliśmy wtedy, ciesząc się jak małe dzieci ze zwycięstwa, że zaledwie w dwa lata później podobny los spotka całe Niemcy i że podobne emocje będą nas czekały na lotniskach i lądowiskach Belgii, Holandji i Niemiec.

Z chwilą poddania się Niemców otwarta została szosa wiodąca z Enfidaville do Tunisu i postanowiliśmy wykorzystać okazję, by zwiedzić to miasto. Zabraliśmy do naszej ciężarówki kilkanaście puszek konserw i parę galonów wody i ze Stachem przy kierownicy, ruszyliśmy wzdłuż nadmorskiej szosy, omijając łańcuch górski, schodzący niemal do samego wybrzeża. Wzdłuż szosy widniały dziesiątki spalonych pojazdów niemieckich, rozbite czołgi i działa. W rowach wały się stosy porzuconego sprzętu, masy karabinów, amunicji, hełmów i bagnietów, rozbite skrzynie nigdy nie wysłanej poczty polowej, magazyny mundurowe i żywnościowe. W miarę zbliżania się do Tunisu na szosie pojawiały się coraz częściej kolumny jeńców. Długie szeregi rozbrojonych żołnierzy, często bez żadnej eskorty, wlokły się w kierunku ich punktów zbornych. Niedaleko lotniska Soliman, nad którym jeszcze tydzień przedtem witała nas artylerja, napotkaliśmy duży oddział Włochów, na czele którego jechało prywatne auto, napakowane po brzegi generałami w błyszczących od złota mundurach. Nie było obawy, by któryś z jeńców próbował ucieczki. Cała Afryka była już w rękach Sprzymierzonych i ryzyko przeprawy przez ogromne przestrzenie pustyni, bez żywności i paliwa, byłoby zbyt wielkie.

Pod Tunisem całe miasteczka przy stacjach kolejowych napakowane były jeńcami. Tysiące i dziesiątki tysięcy Niemców i Włochów czekało apatycznie na odtransportowanie ich do obozów. Cała ich eskorta, to kilku żołnierzy angielskich lub amerykańskich, pilnujących ich z lekceważeniem, jakby od niechcenia.

Mimo że już kilka dni minęło od uwolnienia Tunisu, na ulicach panował ciągle nastrój świąteczny. Tłumy cywilnej ludności, Francuzów i francuskich Żydów, cieszyły się świeżo odzyskaną wolnością. Żołnierze brytyjscy i amerykańscy wszelkich rodzajów broni napełniali kawiarnie i bary, rozkoszując się tanim winem i bratając się z mieszkańcami miasta, entuzjastycznie nastawionymi do swych wybawców. Miasto niewiele ucierpiało od bombardowań i sprawiało miłe wrażenie, choć niemal wszystkie sklepy były pozamykane, ponieważ Niemcy zdążyli złupić i zrabować wszystko, co im do rąk wpadło.

Następnego dnia, będąc ciągle wolni, jako że służby już nikt na lotnisku nie potrzebował pełnić, zorganizowaliśmy wyprawę w góry, by obejrzeć niemieckie pozycje. Kilkanaście mil za Enfidaville skręciliśmy z szosy w głąb obszernej doliny, która stopniowo się zewężając, wiodła do okopów niemieckich. Całe odcinki tej drogi były jeszcze zaminowane i odczuwaliśmy pewien niepokój na widok saperów, ostrożnie wykopujących z ziemi okrągłe płaskie skrzynki. W miarę zbliżania się do przednich pozycji nieprzyjaciela leje po bombach i pociskach pojawiały się tak gęsto, że z trudnością mogliśmy pomiędzy nimi wymanewrować lorą i wreszcie zmuszeni zostaliśmy do opuszczenia samochodu i kontynuowania dalszej

drogi na piechotę.

Wzdłuż licznych dolinek i stromych jarów piętrzyły się w górę opustoszałe stanowiska, okopy i namioty. Pełno tam było porzuconego sprzętu, skrzynie zjedzeniem wydzielały przenikliwy odór, chmury wielkich much unosiły się nad każdym ze stanowisk. Po godzinie włóczęgi „Dziubek” wydał dziki okrzyk radości, wymachując nad głową wielkim Parabellum. Znalazł go gdzieś pod krzakiem, porzucony przez jakiegoś Niemca. W kilka minut znaleźliśmy do niego amunicję i uszczęśliwiony „Dziubek” rozpoczął kanonadę ze swego pistoletu. W krótkim czasie większość z nas posiadała już broń, a Stach zdążył wynaleźć nawet ręczny karabin maszynowy, który wypróbował na każdym rozbitym niemieckim samochodzie. Mnie jedynie przypadł w udziale porzucony na trawie medal włosko-niemiecki za wygraną kampanję w Afryce. Jakoś zbyt wcześnie się Niemcy wybrali z wybiciem tego odznaczenia i właściciel medalu niebardzo się kwapił z jego noszeniem w obozie jeńców.

Było dobrze pod wieczór, gdy zabraliśmy się do powrotu. Z trudem odnaleźliśmy drogę do naszej lory i przechodziliśmy właśnie przez ostatnią dolinę, prowadzącą w tym kierunku, gdy zaciekał mnie szereg porzuconych na trawie skrzyń. Zdobytym niemieckim bagnetem otworzyłem jedną z nich i znalazłem puszki z konserwami, które, po bliższej inspekcji, okazały się zawierać doskonale mięso kurcząt. Okazja była znakomita. Podjechaliśmy pod skrzynie samochodem i załadowaliśmy cały znaleziony zapas.

— Wystarczy na miesiąc dla dywizjonu. — Mruknął spocony ładowaniem Wacek.

— Może nareszcie przestanę sobie łamać zęby — rozpromienił się Karol.

W obozie nasza zdobycz obudziła zachwyt, a przez następne dwa tygodnie mesa żywiła nas smacznym i pożywnym mięsem, zamiast zniechęconym przez nas „bully beefem”.

Jeden Maciek chodził do końca dnia przygnębiony. Chciał biedak zarekwirować niemieckie działo przeciwlotnicze, by postrzelać na wiwat, podjechał nawet pod nie lorą, ale nie mógł podnieść do góry ciężkiej podstawy, ani przymocować jej do samochodu. Działo zostało na miejscu, a Maciek nie mógł nam darować, żeśmy mu odmówili pomocy.

Minęły trzy dni, staliśmy ciągle na lotnisku w Hergla, odpoczywając i zapelniając czas kąpielami w morzu i zawodami strzeleckimi ze zdobytej niemieckiej broni, Nasi koledzy brytyjscy byli w tym samym stanie przymusowego odpoczynku. Zżyliśmy się z nimi bardzo i stosunki były wzajemnie niezwykle serdeczne. Stale urządzaliśmy wspólne „party”, opowiadając sobie o różnych przeżyciach w powietrzu, graliśmy wspólnie w karty i najprzeróżniejsze gry. Chłopcy ci z wielkim zainteresowaniem wypytywali zawsze o nasz kraj, nasze zwyczaje i upodobania, naszą historję i osiągnięcia ostatniego dwudziestolecia przed wojną. Z równym zainteresowaniem informowaliśmy się o ich krajach, rozsiansych po całym globie, o sadach owocowych Nowej Zełandji, błyskawicznym rozwoju przemysłu Kanady lub farmach Rodezji. Zadziwiające było, jak wszyscy ci ludzie, nie mający przedtem nic ze sobą wspólnego, zżyli się tutaj ze sobą, jak się zaprzyjaźnili i połączyli w walce przeciw wspólnemu wrogowi. Było nam wszystkim dobrze ze sobą i gdy wyjeżdżaliśmy spowrotem do Anglji, rozstawaliśmy się z nimi z niekłamanym żalem.

## XV

### PŁYNIEMY NA MALTE

Po kilkudniowym odpoczynku przenieśliśmy się na jeszcze inne lotnisko, niedaleko naszego pierwszego miejsca postoju, tuż po drugiej stronie zatoki Bu Grara. Wing miał pozostać tam przez dłuższy czas, zreorganizować się, przeszkolić nowych pilotów i powysłać personel na dobrze zasłużony urlop do Egiptu. Nasz zespół, tak jak było na początku planowane, miał powrócić do Anglji, czekaliśmy tylko na jakieś bardziej szczegółowe instrukcje.

Nasze lotnisko mieściło się tuż nad brzegiem morza, niezwykle szczęśliwie przydzielono naszemu dywizjonowi północną stronę, tak że rozbiliśmy namioty o kilkanaście kroków od wody. Rozlokowaliśmy się wygodnie w czterech namiotach i rozpoczęliśmy oczekiwanie na zlikwidowanie naszego Team'u i odesłanie nas do Anglji. Czekaliśmy tak trzy tygodnie. Czas zabijaliśmy pływaniem w ciepłej wodzie zatoki i opalaniem się na pięknym słońcu.

Pogoda była ciągle wspaniała, na niebie ani chmurki, rozpoczęły się już upały. Byliśmy do tego czasu dobrze tutaj zaklimatyzowani, wszyscy opaleni na ciemny brąz, tak że gorąco zbytnio nam nie dokuczało, choć nie było się gdzie schować przed palącymi promieniami. Jedyną plagą były muchy, całe chmary tych owadów pojawiały się niewiadomo skąd wcześniej rano, obsiadały namioty, natrętnie brzęcząc nad głowami i dotkliwie gryząc. Latanie definitywnie zakończyliśmy, zdaliśmy samoloty i spakowaliśmy ekwipunek lotniczy. Brak zajęcia męczył nas wszystkich i napawał coraz większą ochotą na powrót do Anglii, gdzie właśnie przeprowadzana była ofensywa lotnicza na wielką skalę, w której, jak zwykle, polskie dywizjony brały pokaźny udział. 'Niewygód pustynnych nie odczuwało się prawie wcale, gdy było dużo do roboty. Podczas wojny nie zważa się na połamane łóżko lub twarde suchary. Obecnie jednak wojna się tutaj zakończyła i po kilku dniach przyjemności morskich kąpieeli, poczęło nam ciążyć przymusowe lenistwo. Paliliśmy się do dalszej walki. W czasie tych trzech tygodni nasz program dnia nigdy się nie zmienił. Wstawaliśmy wcześniej, budzeni regularnie przez roje much i odświeżywszy się krótką kąpielą, jedliśmy śniadanie, po którym rozpoczynaliśmy opalanie się na słońcu, często przeplatane pływaniem. Na słońcu przeważnie wytrzymywaliśmy do obiadu, popołudniu było zbyt gorąco nawet dla nas i chroniliśmy się do mesy, by zagrać partję bridge'a lub przeczytać po raz niewiadomo który stare angielskie czasopisma. Około czwartej popołudniu powracaliśmy do opalania się i kąpieeli, by wreszcie doczekać się kolacji i następnej partji bridge'a. Dnie płynęły monotennie i powoli traciliśmy humory, niepokojąc się brakiem wiadomości o naszym losie. Pojawiły się pogłoski, że cały Wing odchodzi na Malte, co doprowadziło Kazka niemal do białej gorączki.

— Panie Antoś, ja tu już długo nie wytrzymam — narzekał. Wyobraźcie sobie, że całe bractwo przeniesie się na Malte, a nas tu zostawią w pustyni. Wszyscy oczywiście o nas zapomną i muchy nas na śmierć zajedzą jeszcze przed końcem wojny. I ja stary idjota na ochotnika się zapisałem! —

Nawet spokojny Karol zlekka posmutniał:

— Za ojca matołów się zostałem, bo wiekiem jestem najstarszy. Zęby sztuczne wyłamałem, muchy mnie gryzą, słońce pali, a końca tego wszystkiego nie widać. Dobrze że chociaż dostaliśmy to amerykańskie piwo w puszkach i parę butelek whisky, łatwiej przetrzymać. — Dnia 15 czerwca nadszedł wreszcie rozkaz przeniesienia, ale wbrew oczekiwaniom, nie jechaliśmy wprost do Anglii, ale musieliśmy się najpierw zabrać z Wingiem na Malte, by stamtąd kontynuować dalszą drogę. Przerwało to monotonię naszego życia i pakowaliśmy rzeczy w najlepszych humorach, pewni, że niedługo zakończy się nasza wędrówka. Do Trypolisu zabraliśmy się z rzutem ziemnym dywizjonu, bo już nie posiadaliśmy samolotów i po dwóch dniach czekania załadowaliśmy się na mały stateczek, a raczej rodzaj inwazyjnej barki. Przesunawszy się koło dziesiątków zatopionych statków włoskich w porcie, wypłynęliśmy na morze, by kilka mil od brzegu dołączyć do dużego konwoju, eskortowanego przez smukłe kontrtorpedowce. Całość przybrała kierunek północny i w godzinę później poczęliśmy się kołysać na niespokojnych wodach morza Śródziemnego. Podróż trwała kilkanaście godzin, dopiero koło południa następnego dnia pokazały się w oddali skaliste brzegi Malty. Konwój zwolnił i wykręcił wzdłuż brzegu w kierunku zatoki i portu Valetta. Większe statki zostały na redzie, nasza barka wpłynęła w głąb zatoki i przesuając się koło białych budynków, przybiła do mola wojskowego portu. Opędziwszy się z trudem tłumowi oliwkowych maltańskich wyrostków znaleźliśmy miejsce w oczekującym autobusie R.A.F., który przewiózł nas na drugą stronę zatoki, gdzie w hotelu miasteczka Sliema znajdowały się nasze kwatery i oficerska mesa.

Czyste pokoiki i prawdziwe łóżka wzbudziły w nas entuzjazm. Rozłożyliśmy bagaże, zajmując wraz z Karolem i Kazkiem obszerny pokój, doprowadziliśmy do porządku nasze mocno nadwyreżone mundury i przespacerowaliśmy się do mesy, oddalonej od kwater o kilkaset metrów.

Czekała nas tam niespodzianka. Piloci dywizjonu, którzy przylecieli tu poprzedniego dnia, wyrazili nieklamane zdziwienie na nasz widok, a dowódca, Lence Sade osłupiał:

— A cóż wy tu robicie — zapytał — przecież nadszedł sygnał z Kairu, zatrzymujący Polaków w Trypolis. Macie za kilka dni wracać do Anglii! —

Opadły nam ręce. Tyle godzin męczyliśmy się na tej barce i wszystko napróżno.



— Widocznie sygnał nie zastał was w porcie, lub wypłynęliście przed jego nadejściem — zgadywał Wadę.

— Panie Antoś, zguba kompletna! — Kazek był bliski płaczu. Co my teraz zrobimy? No radź Karol, ty jesteś najstarszy — zwrócił się ze złością do Karola. Ale temu twarz się wydłużyła:

— Cóż ja poradzę. Stacha już z nami niema, musimy postarać się o transport na drugą stronę i to jak najprędzej. —

Z jakichś jednak nieznanych nam powodów musieliśmy odczekać na Malcie dalsze sześć dni. Wróciliśmy zniechęceni na nasze kwatery, pocieszając się myślą o luksusowym spaniu na wygodnych łózkach. Ciągłe dyskutując nad sposobami powrotu do Trypolisu, rozbieraliśmy się powoli. Po chwili światło zgasło, układaliśmy się do snu.

Nie wiem jak długo spałem, ale wiem, że obudziło mnie dotkliwe pieczenie stóp i dłoni.

Byłem zbyt zmęczony i senny, by sprawdzić przyczynę, podrapałem się więc niecierpliwie i znów zapadłem w drzemkę. Po raz drugi obudziło mnie głośnie przekleństwo Kazka:

— Panie Antoś, jasna cholera, gryzą mnie ! Ratujcie bo zginę! —

Otworzyłem oczy i zobaczyłem Kazka, klęczącego na łóżku i obserwującego coś przy świetle zapalki.

— Nie bądź głupi Kazek — odezwał się sennie Karol. To tylko pluskwy. Przyzwyczaisz się do nich, a jak się najedzą, to przestaną cię gryźć. —

— Oszalałeś? Tu ich cała armja, panie Antoś. — Zerwałem się z łóżka, zapalając światło.

Kolumny

szarych insektów chroniły się pośpiesznie w załamaniach pościeli. Karol stanął na środku pokoju w swej krótkiej koszuli, z pod której sterczały jego włochate nogi i nie wiedział co zrobić. Wreszcie po dłuższym zastanowieniu chwycił całe łóżko w swe potężne objęcia i ze wstrętem wyrzucił je na balkon apartamentu.

— Śpię na podłodze — oznajmił — za dużo tych bydlaków jest w moim łóżku. —

Poszliśmy za jego przykładem i ponuro jękawszy rozłożyliśmy koce na twardej kamiennej podłodze.

Rano obudziliśmy się niewyspani i z obolałymi bokami.

— Dajcie spokój — zaczął Kazek. Trzeba stąd szybko wywiać, bo przecież na tej podłodze niemożliwie twardo. Kto wymyślił te kamienne kafle? —

Pozostawiając pytanie bez odpowiedzi, ubraliśmy się powoli i ruszyliśmy do mesy na śniadania, a potem, mając wolny czas, na zwiedzanie Valetty.

Wbrew naszym oczekiwaniom miasto nie sprawiało wrażenia bardzo zrujnowanego, mimo że było miejscowością najbardziej bombardowaną podczas tej wojny. Gruzy dawno uprzątnięto, niemal połowa kamiennych domów stała nienaruszona i na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie. Dopiero przyjrawszy się dokładnie można było dostrzec, że na obszernych przestrzeniach pustych placów wznosiły się kiedyś domy, a jeszcze teraz można było przejść koło nieruszonych ruin ze sterczącymi w niebo spalonymi ścianami. „Blitz” nad Maltą dawno się zakończył i życie szło normalnie. Sklepy były pootwierane, w barach pełno najprzeróżniejszych napojów.

Zakończywszy zwiedzanie miasta przepawiliśmy się promem przez zatokę i powróciliśmy do kasyna. Przed drzwiami natknęliśmy się na Stacha, „Dziubka” i Maćka, którzy właśnie przylecieli z Afryki, by objąć dowodzenie angielskimi dywizjonami. Niewiele się namyślając, rozpoczęliśmy z nimi pożegnalne „party”.

Trzeciego dnia pobytu na Malcie złożyli nam wizytę polscy marynarze z łodzi podwodnej „Sokół” operującej wtedy z Malty. Nie wiem, jakim cudem dowiedzieli się oni o naszej obecności, w każdym razie wizyta ich zakończyła się w naszym barze, gdzie urządziliśmy konkurs, kto potrafi najwięcej kolejek naszym gościom postawić. Zawodów nie rozstrzygnięto, bo zabrakło w barze napoi i na zaproszenie marynarzy przenieśliśmy się do ich bazy, w połowie drogi ze Sliema do Valetty. Uprzejmi gospodarze wleli w nas w swej mesie parę dodatkowych „whisky” i zaprosili na zwiedzenie ich okrętu. Pomysł przyjęliśmy entuzjastycznie, ale wątpliwości nasze zaczęły się, gdy musieliśmy przejść na pokład przez wąską kładkę, rzuconą ponad brudną wodą portową.

Kazek przezornie popchnął Karola w stronę chybotliwej deski:

— Ty Karol idź pierwszy, jak się nie utopisz, to ja się za tobą przeprowadzę — zdecydował.

Po wypiciu dziesięciu „double” Karol był niezwykle odważny i odparł lekceważąco:

— Ty szcurze lądowy, ty śmieciuchu, patrz jak stary marynarz się porusza. — Tu ostrym krokiem wstał na kładkę i potknąwszy się o występ deski, zawisł tuż nad wodą, wymachując w powietrzu swymi długimi nogami.

Maciek uśmiechnął się ironicznie i balansując całym ciałem przeprawił suę gładko na drugą stronę ponad leżącym Karolem, by na pokładzie wpaść w ręce rozbawionych marynarzy.

Powoli dostaliśmy się wszyscy do maleńkiej kabiny, zwanej szumnie mesą oficerską. Cztery podwójne koje służyły tam za siedzenia, na środku stał miniaturowy stół z piętrzącymi się na nim butelkami.

Jeden z oficerów łodzi tłumaczył się zakłopotany:

— Strasznie nam przykro, ale dzisiaj nie mamy tu zbyt wiele do picia. Tylko ten gin i nasz fasowany rum — tu twarz mu się ożywiła. — Musicie koniecznie spróbować rumu; jest doskonały. —

„Dziubek” łakomie oblizał wargi:

— Doskonale, właśnie mam ochotę na „jednego”. — Nalano mu szklanek złotawego napoju i wszyscy przypatrywali się „Dziubkowi”, który, przybrawszy minę wytrawnego pijaka, obejrzał najpierw płyn pod światło powąchał go, rozkoszując się ostrym aromatem i wreszcie podniósł szklanek do ust, wychylając zawartość jednym łykiem.

Nastąpił moment ciszy. „Dziubek” stał przez chwilę z wytrzeszczonymi oczyma i szeroko otwartymi ustami, wreszcie desperacko rozejrzał się dokoła, szukając wody. Tego napoju w pobliżu nie było i „Dziubek” z rozpaczą złapał butelkę gin'u z której pociągnął kilka głębokich haustów. Gin nieco złagodził działanie niezwykle silnego rumu i za chwilę „Dziubek” znów przybrał minę bohatera, uśmiechnął się boleśnie i lekko się krztusząc oznajmił:

— Bardzo przedni rum, radzę wszystkim spróbować. — Następna kolejka wypadła na Kazka i nawet on, posiadając dobrze zahartowane gardło, przez parę sekund po wypiciu szklanki nie mógł słowa wymówić. Karol uśmiechnął się z politowaniem:

— Kazek, do cholery, za niemowlę u mnie stoisz. Nie takie się rzeczy pijało i dobrze było. Dajcie no mnie trochę, bo dzieciaki nie potrafią ocenić męskiego trunku. —

Usłużny „Dziubek” podsunął mu pełną szklanek i Karol, przymknąwszy z rozkoszą oczy, wyszczył powoli napój, by odstawiwszy pustą szklanek, dodać tęsknym głosem:

— Dajcie jeszcze trochę, bo ta szklanka ma za mały „tyk”.

Nawet naszym gospodarzom oczy się szeroko otworzyły a ja postanowiłem w duchu nigdy nie przystępować do zawodów z Karolem.

Zwiedziliśmy całą łódź od rufy do dzioba, gdzie mieściło się jej główne uzbrojenie, cztery wielkie cielska torped w wyrzutniach i późnym wieczorem, lekko się chwiejąc, powróciliśmy do Sliema. Dennis Usher, nasz angielski przyjaciel, który odbywał z nami wyprawę na łódź i wytrzymał wszystkie kolejki, odezwał się do mnie po drodze:

— Wizard party, Bohdan. Ale ten Karol potrafi wypić! Ja spróbowałem tego rumu i z miejsca mnie zatkało. —

— Jak ci się podobało na łodzi? — zapytałem.

— Wspaniale. Wiesz, jestem Anglikiem, a podobno nasz naród jest najbardziej „morski”. Czy mi uwierzysz, że pierwsza łódź podwodna, którą w mem życiu zobaczyłem dziś zbliża, należy właśnie do Polish Navy!

— Jeszcze jeden dzień tych „party” a zupełnie się rozlece, panie Antoś — oznajmił dwa dni później Kazek, leniwie się podnosząc z rana z rozpostartych na podłodze kocy. — Kiedyż my wreszcie odjedziemy z tej Malty! Latać nie dają, dzień po dniu celebруем przy barze jakieś uroczystości, albo się żegnamy, albo witamy, a za każdym razem, panie Antoś, whisky się leje, że mi już niemal nosem wychodzi. —

— Bardzo pięknie że wojnę w Afryce wygrałem, że się wypociłem i wypościłem w pustyni, ale tyle alkoholu, co tutaj, to w życiu nie wypilem — dodał Karol. — Może dzisiaj nareszcie nas wyślą spowrotem do Anglii. —

Karol zgadł trafnie. Podczas obiadu Stach oświadczył nam krótko:

— No, Kazek — za parę dni będziecie w Anglii. Lecicie jutro do Castel Benito a stamtąd do obozu wyczekiwania pod Trypolis. —

— Nareszcie — odetchnął z ulgą Kazek. Te „party” do grobu by mnie wpędziły. Jestem tak pełny whisky, że tylko przytknąć zapalke, a wybuchnę, panie Antoś. —

— Dzisiejsza party będzie naprawdę ostatnia na Malcie. Musimy się wreszcie naprawdę pożegnać ze wszystkimi — dodał Karol, który już przyszedł do siebie.

— Chodź Dziubek, niech ci na pożegnanie te krzywe nogi poprzetrącam. Kolegę tracisz, panie Antoś — rozrzewnił się Kazek.

Następnego rana uścisnęliśmy dłonie pozostającej na Malcie naszej trójce, żegnając ich z żalem, bo mocno żeśmy się nawzajem zżyli na pustyni. Po dwóch godzinach lotu byliśmy w Castel Benito, a wieczorem ulokowaliśmy się w wygodnym hotelu oficerskim w Trypolis, czekając na dalszy transport.

## XVI POWRÓT DO ANGLJI

Po kilkudniowym pobycie w Trypolis, odesłano nas do obozu, mieszczącego się kilka mil poza miastem, gdzie spędziliśmy ostatnią noc pod namiotami, gryzieni przez roje much. Dowódca obozu oświadczył nam, że następnego dnia ruszamy w drogę.

— Wszystko pięknie, panie Antoś, ale zobaczycie, że wyślą nas konwojem dokoła Afryki i Anglję zobaczymy późną jesienią — wybuchnął nieoczekiwanym pesymizmem Kazek, ale Karol szybko przyprowadził go do porządku:

— Zamknij lepiej gębę, bo ci muchy powpadają — mruknął. Wszystko jedno jak, grunt że ruszamy z miejsca. —

Następnego ranka przyjechał po nas oficer angielski z Dowódstwa i porozmawiawszy przez parę minut o afrykańskiej pogodzie, oznajmił z uśmiechem:

— Serdecznie panom zazdroszczę. Odlatujecie dzisiaj do Gibraltaru, a za dwa dni będziecie w Anglji. Chciałbym się z wami zabrać, bo siedzę tu już trzy lata. —

— Słyszysz Karol! — wykrzyknął Kazek. Odlatujemy ! A mówiłem ci, ojciec matolów, że wrócimy powietrzem. Panie Antoś, znowu Piccadilly Strasse zobaczę. Pewnie się tam już wszystkie moje narzeczone stęskniły! —

Karol nie miał czasu sprostować kłamstwa Kazka. Spakowaliśmy się w kilka minut i przybyliśmy do Castel Benito w sam czas, by zdążyć się załadować na dwa komunikacyjne Hudson'y. Przy starcie uśmiechnęliśmy się do siebie porozumiewawo. Już nigdy pustynny pył nie będzie nam dokuczał, ani piekące słońce nie będzie pokrywało nam skroni gryzącym potem.

W powietrzu było chłodno i przyjemnie i czas szybko zeszedł nam na drzemce. Obudziliśmy się, gdy maszyna podchodziła do lądowania w Maison Blanche. Mechanicy uzupełnili samoloty, odświeżyliśmy się pośpiesznie kubkiem amerykańskiej kawy w pobliskiej kantine i znów znaleźliśmy się w powietrzu.

Tym razem pilot wykręcił nad morze i powoli straciliśmy z oczu afrykański ład.

Przelecieliśmy ponad wielkim konwojem płynącym w stronę Algieru i roztoczyła się pod nami pustka.

Wreszcie Karol zawołał triumfalnie, przekrzykując łoskot silników:

— Z prawej strony ląd ! —

Powoli wyłoniły się z zamglonego horyzontu brzegi Hiszpanji. Jeszcze pół godziny lotu i ukazała się przed nami samotna skała Gibraltaru. Pilot zmniejszył gaz i uważnie obserwując natężony ruch w powietrzu, wykonał rundę naokoło wierzchołka, by podejść do lądowania od strony otwartego morza. Maszyna dotknęła lekko kołami asfaltowej nawierzchni i wytraciwszy wybieg podkołowała pod barak „Flying Control”.

Nie zabawiliśmy w Gibraltarze długo. Następnego wieczora oczekiwaliśmy na nas wielki czterosiłnikowy Lancaster i po całonocnej podróży, bez przeszkód wylądowaliśmy pośród zielonych pól angielskich.

Wyprawa afrykańska została zakończona, wracaliśmy wszyscy do naszych starych dywizjonów, by kontynuować dalszą pracę w powietrzu. Dużo jednak czasu minęło od tej chwili i wielu Niemców spadło w płomieniach na ziemię, zestrzelonych przez byłych członków „Polish Team”, nim wreszcie, siedząc gdzieś na dispersalu w Niemczech, usłyszeliśmy krótki telefoniczny meldunek:

— Wojna zakończona! Ostatnie oddziały niemieckie poddały się do niewoli.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

- I. Historia się rozpoczyna
- II. W konwoju
- III. Pierwsze kroki na czarnym lądzie
- IV. Pieniądz rządzi Kairem
- V. Bu Grara
- VI. Pierwsze loty
- VII. Pierwsze zwycięstwa
- VIII. Niemcy uciekają
- IX. Zmieniamy lotnisko
- X. Goubrine
- XI. Trzy wielkie dni
- XII. Stajemy się sławni
- XIII. Ostatnie walki
- XIV. Pogrom Afrika Korps
- XV. Płyniemy na Malte
- XVI. Powrót do Anglii